1/2016 PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

Nr indeksu 332194 ISSN 1234-6160

PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

1/2016

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W BIAŁEJ PODLASKIEJ

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW PODLASIA

Jak se staniesz przed Wielkim Sądem i cie spytajom „kto?”,
nie będziesz mówił filozof ani redaktor, ale powiesz – „jo” (ks. J. Tischner)

Kolegium redakcyjne: Tomasz Demidowicz, Ryszard Kornacki, Grażyna Lewczuk, Grzegorz Michałowski (red. naczelny), Roman Pieńkowski, Maria Pietruczuk. Iwona Warda (sekretarz)

Wydawnictwo ukazuje się
przy pomocy finansowej:

Prezydenta Miasta Białej Podlaskiej

Ilustracje:
Aneta Wałuto-Ecco Pigment

Red. techniczny:
Grzegorz Michałowski

Adres redakcji:
Miejska Biblioteka Publiczna „Podlaski Kwartalnik Kulturalny”, ul. Warszawska 12A, 21-500 Biała Podlaska, tel. (83) 341 64 52, www.mbp.org.pl,
e-mail: regionalia@mbp.org.pl Nakł. 300 egzemplarzy

Druk i oprawa: Poligrafia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej

Spis treści

ARTYKUŁY

Szczepan Kalinowski
Legionowi literaci i artyści na podlaskim szlaku 7

Stefan Pastuszewski
Wizerunek staroprawosławia w potocznej świadomości 22

Czesław Maziejuk
Ksiądz Paweł Zubko: ofiara systemu komunistycznego 29

WSPOMNIENIA

Alina Wojniakiewicz
Dom i szkoła: bialskie wspomnienia z lat 1945-1948 44

Tomasz Demidowicz
Tadeusz Derlukiewicz (1945 - 2014): rzecz o przyjacielu który kochał muzykę i śpiew 62

PREZENTACJE

Magdalena Nazaruk
Wiersze: *produkty, kuszący Adam, okręgi, [Człowiek jako zbiór],dziadek Jan, jemu, sotnia…* 73

Włodzimierz Rutkowski
Niedowiarek 81

Ludwik Filip Czech
Wiersze: *[Lubię chodzić], Powroty, Prywatność, Przesyt, Adaś i ja, Święto Zmarłych …* 85

RECENZJE

Walentyna Gorbaczewska
Nostalgie, czyli szuflady pamięci Henryka Kozaka 93

Maria Makarska
Wszystko w swoim czasie ma swój smak 98

KRONIKA KULTURALNA 105

Nadesłano do redakcji 113

a r t y k u ł y

Szczepan Kalinowski
(Biała Podlaska)

Legionowi literaci i artyści na podlaskim szlaku

Poszło przede wszystkim za nami to, co najpiękniejsze w kulturze ludzkiej – poszła sztuka.
(Józef Piłsudski)

W tej najinteligentniejszej armii świata, jaką były Legiony Józefa Piłsudskiego – ze szczególnym uwzględnieniem Pierwszej Brygady – nie brakowało profesorów i doktorów, adwokatów, inżynierów, nauczycieli i literatów, roiło się też od artystów. Z obecnego punktu widzenia zdumienie może budzić jak wielki to był wysyp artystów – plastyków, bowiem malarzy i rzeźbiarzy było w Legionach ponad siedemdziesięciu.

Legionowi literaci na unickim Podlasiu

Bogata jest spuścizna po świadkach tamtych wydarzeń, legionistach przemierzających Podlasie latem 1915 roku. Dokumentowali je politycy, wojskowi ze szlifami oficerskim i generalskimi wężykami: Felicjan Sławoj-Składkowski, Tadeusz Kasprzycki, Kazimierz Sosnkowski, Stefan Rowecki, Stanisław Rostworowski, Aleksander Narbut - Łuczyński[1], Wacław Lipiński, a także żołnierze z niższymi szarżami: hrabia A. Krasicki, A. Kotarba, J. Pudełek, S. Romin, W. Solek, S. Żmigrodzki, W. Budzyński[2], T. Pannenko,

[1] A. Narbut-Łuczyński (1890-1977): w Legionach dowódca kompanii i baonu w 5 i 6 pp, organizator (w 1918 r.) 34 pp w Dęblinie, potem w Białej Podlaskiej, ostatnią bitwę stoczył z Niemcami pod Kobylanami (5.II.1919 r.), 3.IX.1920 r. na dworcu kolejowym w Białej Podl. J. Piłsudski udekorował dowódcę 34 pp orderem Virtuti Militari; był dowódcą 9 Dywizji Piechoty, od 1930 generał, w 1939 r. dowódca etapów armii „Kraków", następnie w PSZ na Zachodzie, po 1945 na emigracji w USA, pochowany w Doylestown. Jest autorem wspomnień „U kresu wędrówki", wydanych w 1966 r. Londynie.

[2] Wacław Budzyński (1891-1939): ur. w Międzyrzecu Podl., służył w 1 pułku ułanów LP, publicysta, autor wspomnień, w których opisał przemarsz Legionów przez rodzinne Podlasie („Z pierwszym szwadronem 1 puł. 1 Brygady LP w 1915-16 r."), poseł na Sejm II RP, odznaczony m.in. Orderem Virtuti Militari.

T. Alf - Tarczyński. Pokolenie ówczesne nie pamiętało regularnych formacji wojska polskiego, widok więc legionisty w maciejówce, czy w czaku ułańskim, do tego z orzełkiem, wywoływał silne wzruszenia patriotyczne. Spotkania te opisali także: ks. Józef Panas – kapelan II Brygady, Marian Dąbrowski – korespondent wojenny (mąż pisarki Marii Dąbrowskiej), Wacław Jędrzejewicz – historyk. Przeżycia legionowe wprowadzali do swoich utworów wspomnieniowych i literackich pisarze: Juliusz Kaden-Bandrowski, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Karol Koźmiński i in.

W bitwie pod Jastkowem przeszedł chrzest bojowy 4 pp, którego dowódcą był ppłk Bolesław Roja. W sztabie i kompaniach tego pułku było wielu literatów: Jerzy Żuławski, Władysław Orkan, Feliks Gwiżdż, Józef Relidziński, Karol Bunsch,[3] Władysław Broniewski, Franciszek Biedroń i Józef Andrzej Teslar.

Trudy wojenne wcale nie zniechęciły do pisania obszernych dzienników, m.in. przez A. Krasickiego, T. Kasprzyckiego, czy F. Sławoj-Składkowskiego. Również W. Lipińskiemu wojaczka nie wypełniała całkowicie jego czasu, skoro z dnia na dzień, natychmiast po marszu, czy bitwie, nieraz wprost w okopie, prowadził obszerny dziennik żołnierski[4]. Autor dał w nim wyraz nie tylko uniesieniom patriotycznym, codziennemu znojowi i udręce żołnierskiej, ale i licznym rozterkom jakie towarzyszyły tej wspaniałej, wartościowej młodzieży, pełniącej ochotniczo swą służbę. Nawet w okopach miał czas na lekturę: *22 sierpień Wysokie Litewskie ... czytam „Ludzi bezdomnych", dostałem ją do rąk, gdyśmy przeszli Bug ... na książkę po prostu się rzuciłem ...*

Książka towarzyszyła polskiemu żołnierzowi również po drugiej stronie frontu. A. Krasicki 4.VIII. 1915 r., będąc w Ożarowie koło Lubartowa, zapisał: *Jest tu także oficer w sztabie – Kaden - Bandrowski, literat, do konia ma ordynansa, do którego mówią „obywatelu Kościuszko". Nie zbadałam czy to jego właściwe nazwisko, czy pseudonim legionowy. Tenże Kaden ma książkę Słowackiego „Poezje", którą znaleziono przy zabitym żołnierzu rosyjskim, naturalnie Polaku. Na stronicy poematu „Ojciec zadżumionych" są duże plamy krwi*[5].

Najwięcej miejsca relacjom z Podlasia poświęcił w swoim dzienniku A. Krasicki, skoligacony z Zamoyskimi, którzy w tej części Kongresówki

[3] K. Bunsch poległym w bitwie pod Jastkowem zadedykował swoją historyczną powieść pt.: „Bracia" (1976).

[4] Ogłoszony po odzyskaniu niepodległości pt.: „Szlakiem I Brygady" doczekał się trzech wydań. W. Lipiński w latach 1936-39 był dyrektorem Instytutu J. Piłsudskiego, we wrześniu 1939 r. szefem propagandy Dowództwa Obrony Warszawy, w 1947 r. aresztowany i dwa lata później zamordowany w więzieniu przez komunistów.

[5] A. Krasicki, *Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914-1916*, Warszawa 1988, s. 286.

mieli swoje posiadłości (Jabłoń, Różankę). Zajmowane przez niego stanowisko adiutanta i oficera ordynansowego kolejnych komendantów Legionów stwarzało dogodną perspektywę do różnorakich obserwacji. Jego zapisy, dokonywane na gorąco, z dużą dokładnością, z określeniem miejsca i czasu, mają wielkie znaczenie jako dokument tamtej epoki. Jakże często hrabia Krasicki musiał spać na ziemi, doznawać niewygód i chłodu – nie narzekał jednak, ani się oburzał. Był bystrym obserwatorem, dostrzegał rzeczy ciekawe, wyróżniające się, oryginalne[6]. Na podstawie jego „Dziennika" można odtworzyć przejmujący obraz wojny na ziemiach polskich – widoki zniszczeń wojennych, śmierć tysięcy ludzi, i szczególną tragedię Polaków, zmuszonych do walki pod obcymi sztandarami, za obcą sprawę. Autor był z wykształcenia i zamiłowania przyrodnikiem, mamy więc obok opisów batalistycznych oraz zabytków także opisy krajobrazów i ludzi – od arcyksięcia Karola i brygadiera Piłsudskiego, po podlaskich chłopów[7].

A. Krasicki, rys. wg. W. Wodzinowskiego

Ciekawe podlaskie wątki zawierają wspomnienia Karola Koźmińskiego, który z Mińska na Białorusi dojechał w 1915 r. pociągiem do Białej [Podlaskiej]. Następnie wynajętymi końmi udał się do Cieleśnicy, gdzie w majątku Rosenwerthów administrował jego brat cioteczny – Janusz Łoś. Udało mu się później dotrzeć do Warszawy, aby ponownie z batalionem warszawskim powrócić na Podlasie, i w Kopytowie koło Kodnia dołączyć do ułanów Beliny[8].

Wspomnienia o dużych walorach literackich A. Struga i W. Orkana zawierają ciekawe obserwacje z Podlasia[9]. Obaj przedstawili wojnę jako zjawisko złożone, ukazując jej oblicze odpatetyzowane i groźne. Twórczość wo-

[6] Przedstawił m.in. iście surrealistyczną scenę, gdy w spalonej wsi, w której pozostały jedynie ceglane kominy, kobiety wypiekały w ocalałych piecach chleb.

[7] A. Krasicki (1873-1946): ziemianin, w 1914 r. poseł na sejm galicyjski, 1916-17 członek NKN, porucznik w Komendzie LP, ochotnik w wojnie 1920 roku – jako rotmistrz 14. pułku ułanów Jazłowieckich, zmarł w Krakowie.

[8] K. Koźmiński (1888-1967): rysownik, literat, dziennikarz, członek POW, potem w LP, w 1927 roku sekretarz marszałka J. Piłsudskiego, autor wspomnień „Z ułanami Beliny 1914-1916" (Warszawa 1928).

[9] Sz. Kalinowski, *Szlakiem Legionów po Podlasiu*, Biała Podlaska 2002, s. 34-52.

jenną tych autorów cechuje autentyzm, a gwarancją tego był ich czynny udział w walkach. Brak dystansu twórcy do tych wydarzeń spowodował jednak, że zabrakło wielkiej epiki. W przeciwieństwie do legionowej poezji nie pojawili się w prozie wybitni „bardowie". Może jedynie talent Juliusza Kaden-Bandrowskiego znalazł impulsy twórcze w tematyce wojennej[10]. Od kwietnia 1915 do marca 1916 r. opublikował on pięć tomów prozy: „Piłsudczycy", „Bitwa pod Konarami", „Rubikon", „Mogiły", „Iskry". Jest to proza pisana na gorąco, jakby w żołnierskim marszu, w której autora opiewa epopeję I Brygady i jej komendanta J. Piłsudskiego. O szamotaninie duchowej i poczuciu niemocy J. Piłsudskiego wiele mówi nowelka „Rubikon", kiedy przed wkroczeniem na Podlasie Legionów zdecydował się on na podróż do Warszawy (13-15 VIII 1915): *Piłsudski siedział w powozie, schylony, zadumany nad brzegiem sinej połyskliwej rzeczki, nad tym wieczystym, sennym, płyciutkim Rubikonem polskim ... Jechać nam wypadało przeciw morzu wojennego przepychu, w piekielnym huku lecących rzędami samochodów. Naprzeciw tej glorii stalowego zwycięstwa trząsł się mały wózek Piłsudskiego. Właśnie na tym gracie, starym, bez stopni, przybywał do stolicy polskiej wielki głos niezłomnego protestu, głos najśmielszej odwagi, dumy i najszczytniejszego bohaterstwa*[11].

Zygmunt Kisielewski wydał w 1916 r. tom prozy pt. „Krwawe drogi" (z pogranicza reportażu i nowelistyki), tematycznie związanej z Legionami[12]. W opowiadaniu „W drodze" spotykamy się ze scenką przywracania kościołów katolikom, zabranych wcześniej przez prawosławie. Tak samo jest to zawarte w opisie M. Dąbrowskiego – dotyczącym Drelowa[13]. Różni tych autorów jedynie opis motywacji zachowań żołnierzy. Determinuje ich chęć zemsty za dokonane bestialstwa przez uciekających żołnierzy rosyjskich, którzy podpalali polskie wsie: *czarna wstęga dymu pożarów, tysiące żołnierzy biegnących naprzód, spieszących mordować podpalaczy ... Tak lew ściga szakala. Zaiste lwami są ci, co od roku wstąpiwszy na drogę, nie zboczyli z niej na włos, aż teraz los wreszcie mękę ich nagrodził, iż witani są jak swoi, jak zbawiciele, jak synowie ziemi polskiej*[14].

[10] K. Stępnik, *Legenda Legionów,* Lublin 1995, s. 82.

[11] J. Kaden-Bandrowski, *Trzy wyprawy*, Wrocław 1991, s. 14 i 19. Piłsudski po walkach nad Wieprzem udał się do Warszawy (z miejscowości Kozły w pow. łukowskim), a „polskim Rubikonem" była najprawdopodobniej rzeczka Czarna.

[12] Z. Kisielewski (1882-1942): ojciec Stefana, pseud. Kisiel, publicysta, powieściopisarz, podczas I Wojny Światowej w POW i Legionach, autor m. in. „Dni Listopadowe: powieść z 1918" – o dużej wartości dokumentalnej.

[13] M. Dąbrowski, *Jak to żołnierz polski przywracał ludowi Polskiemu odebrane przez Moskali kościoły katolickie,* [w:] *Kalendarz Polski, Kraków 1916, s.53*

[14] Z. Kisielewski, *Krwawe drogi,* Kraków 1916, s. 98.

Bohaterami trzeciej części trylogii S. Żeromskiego „Charitas" (całość pt. „Walka z szatanem") jest siedlecki gimnazjalista Włodzimierz Jasiołd[15]. Wypadki wojenne zastały go na terenie Galicji. Wstępuje on wówczas do Legionu Wschodniego, co ułatwiają mu doświadczenia zdobyte w drużynie skautów, ćwiczącej potajemnie w podsiedleckich lasach i na pobojowiskach Stoczka i Igań. Kiedy Legion Wschodni został rozwiązany, to Jasiołd odmówił złożenia przysięgi na wierność Austrii, gdyż przekonany był, że krew przelewać warto tylko za wolność Polski. Ostatecznie wstąpił w szeregi I Brygady, a po walkach nad Nidą, jako jeniec, trafił do Lwowa. Jako poddany rosyjski został skazany na śmierć. S. Żeromski wykreował Jasiołda na patriotę. Przeszedł on próbę przysięgi, ocalił honor, przetrzymał społeczną pogardę, zaznał żołnierskiego losu. Podlasiak – Jasiołd pozostał osamotnionym ideowcem, który potrafi znaleźć w sobie siły, wbrew niełatwym okolicznościom[16].

Poezja legionowa

Poezja legionowa była kolejnym z ogniw poezji patriotyczno-powstańczej, rozwijającej się w Polsce od średniowiecza, szczególnie nasilającej się w okresach walk o niepodległość. Ta legionowa jest bodaj jedyną w dziejach naszej literatury, której efektem był radosny dla kraju finał. Niepodległość, wymarzony cel kilku pokoleń Polaków, w 1918 r. stała się faktem. Poezja wojenna doby I wojny światowej związana była przede wszystkim z walkami Legionów Polskich. Najczęściej występującą formą poetycką była pieśń lub piosenka. Wzorce literackie tej twórczości tkwiły głównie w romantyzmie, dumce żołnierskiej, dawnej pieśni ludowej i kościelnej[17]. Tematy najczęściej podejmowane, to poświęcenie dla ojczyzny, wezwania do walki, marzenia o niepodległości, kult J. Piłsudskiego – jako wodza I Brygady[18]. W sierpniu 1915 r., po wkroczeniu wojsk polskich na Podlasie, bardowie legionowi wprowadzili do swojej twórczości wątki unickie. Poeci w sposób spekta-

[15] Wybuch wojny zastał S. Żeromskiego w Tatrach, skąd udał się do Krakowa. Zgłosił się tam do Legionów; próbował bezskutecznie przedostać się na front, wrócił więc do Zakopanego. Wrogi stosunek do państw centralnych doprowadził go do odsunięcia się od obozu J. Piłsudskiego.

[16] K. Stępnik, *Rekonesans. Studia z literatury i publicystyki okresu I wojny światowej,* Lublin 1997, s. 127-128.

[17] W warstwie ideowej, szczególnie w symbolice, duży wpływ na tę poezję wywarła twórczość St. Wyspiańskiego i S. Żeromskiego.

[18] W poezji I Brygady, podobnie jak i w poezji patriotycznej XIX w., w dalszym ciągu funkcjonowały dwa wielkie mity narodowe: kościuszkowski i kawaleryjski. Nowym wcieleniem Naczelnika stawał się sam brygadier – Piłsudski: demokrata, radykał i socjalista, umiejący jednak nawiązać do tradycji, hołubiony nawet przez krakowskich konserwatystów.

kularny odwoływali się do kwestii, która tak bardzo mocno wzburzała polską opinię publiczną przed wojną, związanej z wydzieleniem Guberni Chełmskiej (1912 r.) i włączeniem jej w granice Cesarstwa Rosyjskiego.

Jeszcze przed wojną, która zgodnie z przepowiednią Mickiewicza miała przynieść Polsce niepodległość, obok M. Konopnickiej czy K. Iłłakowiczówny, również poeci z Podlasia – M. Markowska i K. Sawczuk – wyrażali ufność i nadzieję w ostateczne zwycięstwo. Maria Markowska[19] w swoich wierszach sławiła heroiczne czyny rewolucji 1905 r., godziła niepodległościowy socjalizm z tradycją powstańczą. Stąd m.in. występowanie w jej twórczości motywu „Snu o szpadzie" (z Żeromskiego), czy echa twórczości Słowackiego. Wiersz „Wigilie" nawiązuje w zakończeniu do tych dwóch postaci naszej literatury:

Skupiona w sobie stal woli ... błysk gromu...
W serc wiernych garści jęk, wiecznej tęsknoty ...
Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu ...
Zniszczony w czynie sen o szpadzie złoty[20]

Kajetan Sawczuk profetycznie pisał w wierszu z 1912 r. pt. „I dotąd naród nasz nie wierzy ...", zamieszczonym w tomie „Pieśni":

I dotąd naród nasz nie wierzy,
Że lud tej ziemi solą jest,
Że w duszach tyle mocy leży,
Że nań wolności spłynie chrzest" (...)[21]

[19] M. Markowska (1878-1939): ur. w Terespolu, poetka, działaczka PPS, brała udział w wydarzeniach 1905-1907, więziona na Pawiaku. Żona H. Minkiewicza, malarza, aktywisty PPS, późniejszego oficera Legionów i generała WP. Z czasem znalazła się w opozycji wobec obozu Piłsudskiego. Podczas wojny nie pisała. Zmarła w zapomnieniu. Pochowana w grobie rodzinnym w Jamnie koło Brześcia nad Bugiem. Wydała: „Melodie śmierci", „Burza", „Poezje" (1909 r.) oraz „Hej, biją dzwony" (1911).

[20] Wiersz „Wigilie" z tomiku „Poezje", Kraków 1909. „Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu", cytat z pieśni „Beniowskiego" J. Słowackiego: „Gniazdo na skałach orła... niechaj umie/ Spać – gdy źrenice czerwone od gromu/ I słychać... jęk szatanów w sosen szumie.../Tak żyłem (...)." Tekst ten wyryto później na grobie Marii z Billewiczów Piłsudskiej na wileńskim cmentarzu Rossa, gdzie 12 maja 1936 r. złożono także urnę z sercem Marszałka.

[21] K. Sawczuk (1892-1917): ur. w Komarnie na Podlasiu, w rodzinie unickiej, świadek prześladowań, działacz niepodległościowy, współpracownik „Zarania", podczas I wojny światowej organizator POW, zmarł w Warszawie. Jego wiersze ukazały się w tomie „Pieśni" (Wilno 1924) – z przedmową Ireny Kosmowskiej. W lirykach wyrażał umiłowanie ziemi rodzinnej, sławił pracę rolnika, podejmował motywy społeczne i polityczne. Na jego twórczość wpływ wywarła poezja romantyczna, zwłaszcza Zygmunta Krasińskiego.

Wacława Grodzicka-Czechowska, pochodząca z Podlasia, podczas wojny przebywała w Rosji. Tam też powstał jej wiersz „Ojczyzna", w którym przedstawia tęsknotę do rodzinnych stron. W utworze „O, Polsko", również napisanym w 1917 r., a więc jeszcze przed odzyskaniem niepodległości, autorka zapowiada bliską wolność:

(...) Bliski już dzień powrotu... Bez tchu i bez słowa
We łzach szczęścia przed Tobą ukorzę się w pyle;
Ty mnie pobłogosławisz - Wolności Królowa!(...)[22]

Stanisław Długosz[23], uważany za jednego z najwybitniejszych poetów legionowych, nie doszedł do „ziemi łez i krzyży". Zginął 6.VIII.1915 r. pod wsią Samoklęski koło Lubartowa, w wieku zaledwie 24 lat. Poezja Długosza wzywała do czynu zbrojnego, głosiła wiarę w zwycięstwo, wyrażała jednocześnie przeczucie przedwczesnej śmierci. Na początku wojny, we wrześniu 1914 r., napisał wiersz „Nad Wisłą":

(...) Chciałbym zebrać wszystkie polskie ciernie,
Wszystkie wiary dochowane wiernie,
Wszystkie nasze wiary romantyczne
I usypać z nich kopce graniczne (...)

Władysław Broniewski przeszedł z „czwartakami" szlak bojowy na Lubelszczyźnie i Podlasiu. Chrzest bojowy miał na polu bitwy pod Jastkowem koło Lublina:

(...) A potem, a potem, a potem –
wiele lat, wiele krwi, wiele śmierci:
pod Jastkowem leży pokotem
polowa Czwartego Pułku
z kulą w piersi (...)

[22] Wiersz „O, Polsko" – w trzecim tomie poezji „Ku Ojczyźnie"(Warszawa 1920). W. Grodzicka-Czechowska (1885-1950): ur. w Józefowie koło Łysowa, studiowała filozofię i literaturę na Uniwersytecie Lwowskim. W 1912 r. poślubiła inż. górniczego J. Czechowskiego i wyjechała na Ukrainę, gdzie przebywała do końca wojny. Po powrocie do Polski zamieszkała w Warszawie. Zmarła w Krakowie, pochowana została natomiast na cmentarzu w Niemojkach k. Łosic. Wydała 6 tomików poezji, poświęconych m. in. problematyce unickiej.

[23] S. Długosz (1891-1915), pseudonim Jerzy Tetera, poeta, działacz tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej „Przyszłość"(tzw. „Pet"), współorganizator Polskich Drużyn Strzeleckich, działacz ruchu skautowskiego, studiował na UJ prawo i historię, jako porucznik służył w I Brygadzie (lotny oddział wywiadowczy), pochowany na Powązkach. Jego utwory, z przedmową A. Struga, opublikowano w tomie „Przed złotym czasem" (Kraków 1917).

W wierszu „Młodość" (z tomu „Wiatraki") nawiązuje do taktyki wycofujących się Rosjan:

(...) Paliły się chałupy, stodoły i stogi,
pod biały namiot dymów kuliły się miasta (...)

Wojenna inicjacja poety, która dokonała się w Legionach, odcisnęła trwały ślad na całej jego późniejszej twórczości[24].

W połowie sierpnia 1915 r. Legiony weszły na ziemie o bogatej tradycji walk i oporu przeciwko zaborcy – na Podlasie. Żywa tu była pamięć o powstańczym zrywie 1863 r. i bohaterskim ks. Stanisławie Brzósce.[25] Od świetnie zorganizowanej konspiracji unickiej, o niespotykanym wcześniej w dziejach polskiej wsi zasięgu, zaczęła się aktywizacja świadomości narodowej podlaskiego ludu. Dążąc, jak to pisał S. Żeromski, „do swego Boga", doszedł chłop-unita do polskości. Żołnierz polski wkroczył na ziemie unitów witany radośnie przez jego mieszkańców, podzielających nienawiść do odchodzących w dymie pogorzelisk Moskali. Pamiętniki i wiersze eksponują obrazy przywracania świątyń katolikom, zabranych wcześniej przez prawosławie. Podlasie i Chełmszczyznę zachowali Legioniści we wdzięcznej pamięci. Feliks Gwiżdż w „Pieśni pułku IV" pisał o motywacji walki – „za prześladowania unitów":

Za bat nad ludem, za opluwanie wiary,
Za szubienicę, za narodu krew ...
Mścić się dziś idzie nam Legion szary,
Ohydę Moskwy zatargać do trzew[26].

Józefa Relidzińskiego wiersz „Z ziemi chełmskiej", napisany we wrześniu 1915 r., opowiada w formie gawędy o prześladowaniach unitów, kojarzących się z „dziejami cierniowymi Chrystusowej Golgoty". Chełmszczyzna, to ziemia „święta" i „wiarą gorejąca", jak wyznawcy Chrystusa w czasach Nerona, której lud:

szedł na śmierć, śpiewając Najświętszej Panience
litanie, jak przed wieki pierwsze chrześcijany[27].

[24] Ciekawą opinię zanotował poeta 19.XII.1916 r.: *Jestem żołnierzem Komendanta Piłsudskiego. Osoba jego daje mi gwarancję, że będę użyty dla dobra ojczyzny i idei demokratycznej*.

[25] L. Rygier, pierwszy mąż Zofii Nałkowskiej, w balladzie „Spotkanie" z 1915 r. nawiązał do walki ostatniego partyzanta powstania styczniowego, kapelana gen. S. Brzóski: *„Wśród ciszy szept jęknął: Bracie – ktoście wy, ludzie? – Kryjaki"*. „Kryjaki", to głośna powieść M. Jehanna Wielkopolskiej z 1913 r. o ks. S. Brzósce.

[26] F. Gwiżdż (1885-1952): poeta, wybitny organizator ruchu regionalnego na Podhalu, walczył w Legionach, poseł na Sejm i senator, uczestnik Powstania Warszawskiego, zmarł w więzieniu warszawskim w okresie stalinowskim. Wiersze legionowe wydał w zbiorze „Kośba" (Warszawa 1921).

Jan Starzewski, autor utworu poetyckiego „Cmentarze chełmskie", opisuje tragedię ludu Podlaskiego, któremu wojna zabrała wszystko, a pozostawiła tylko krzyże i cmentarze:

Po co ocalał ów tłum dawno zmarły?
Wszak ziemia wokół w ruiny zapadła,
płomienie wszystko, co żyło, pożarły[28].

Wiersz Józefa Teslara pt. „Maławogórski kościół" (Malowa Góra - S. K.) z 30 sierpnia 1915 r. przedstawia wizerunek „świętokradzkiego zniszczenia", z którego ocalał posąg Matki Boskiej – „nietknięty gradem kul":

Rzecz przedziwną widziałem: świątynię zburzoną,
Ze strzaskanymi organy, dachem, witrażami...
Pierwszy raz tam śpiewano polski hymn ze łzami (...)

Sytuacja ta kojarzy się autorowi z symbolem wolności, wyrywającej się „spod niewoli, nahajek, kajdan i bezprawia". Również w utworze „Kres i miara", powstałym nad Bugiem w sierpniu 1915 r., znalazła się aluzja do martyrologii podlaskich unitów:

a ziemia naga, spustoszona w męce
ogniem, żelazem - skąpana w krwi fali,
przejdzie - w rozkute z kajdan polskie ręce![29]

---

[27] J. Relidziński (1886-1964): poeta rodem z Kielc, działacz „Sokoła", w Legionach oficer 4 Pułku Piechoty, w 1920 sekretarz delegacji do rokowań z sowietami w Mińsku, w okresie II wojny światowej zesłany do Kazachstanu, potem w armii gen. W. Andersa, po 1945 na emigracji w Anglii. Wiersz z „Ziemi chełmskiej" zamieszczony w zbiorze „Wieją wiosenne wiatry: poezje wolnościowe i legionowe", Kraków 1916 r. Około 1944 r. wydał w Tel-Awiwie esej „U źródła mocy i wielkości Józefa Piłsudskiego".

[28] J. Starzewski (1895-1973): poeta urodzony w Wadowicach, doktor prawa UJ, był adiutantem płk W. Sikorskiego Po wojnie ożenił się z córką Wojciecha Kossaka – Magdaleną, późniejszą pisarką M. Samozwaniec. W okresie międzywojennym w służbie dyplomatycznej, autor książki „J. Piłsudski. Zarys psychologiczny", po 1945 na emigracji, w 1972 MSZ rządu RP w Londynie. Wiersz „Cmentarze chełmskie" opublikowany w tomie poetyckim „Wiersze wojenne"(Kraków 1916).

[29] J. A. Teslar (1889-1961): poeta, tłumacz, studiował literaturę na UJ i we Lwowie, należał do Sokolich Drużyn Polowych, 1914-1915 w II Brygadzie, na Podlasiu walczył w składzie 4 Pułku Piechoty, wydał historię tego pułku („Czwarty pułk"). Jako nauczyciel gimnazjalny w listopadzie 1918 rozbrajał wraz z uczniami i harcerzami garnizon niemiecki w Siedlcach. W 1920 r. sekretarz generalny Komitetu Obrony Narodowej, w latach 1922-1939 wykładowca w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu. Za przekład „Krzyżaków" H. Sienkiewicza otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej. Zmarł na emigracji we Francji; pochowany na cmentarzu w Montmorency. Oba wiersze pisane na Podlasiu pochodzą z tomu „Rytmy wojenne 1914-1916".

Przekroczenie rzeki Bug zakończyło wojenną akcję Legionów w charakterze misji wyzwolicielskiej. Opuścili Polskę etnograficzną, bowiem Kresy Wschodnie funkcjonowały już jedynie jako kategoria pamięci, a nie polityki. Wspominał wówczas W. Budzyński*: Po przejściu na Ruś zaczęliśmy dziwnie smutny okres wojny. Jakby legł na nasz szlak cierń oddalającej się stolicy...* Inne doświadczenia miał Franciszek Biedroń, poeta z II Brygady, która walczyła wcześniej na Bukowinie i w Karpatach. Rusini przyjmowali ich tam bardzo serdecznie. W wierszu „Nad Bugiem" boje za tą rzeką miały charakter misji wyzwoleńczej:

Wśród nocy świateł tysiące błyska,
Rozegrał się Złoty Róg!
Już to wyzwolin godzina bliska!
Czwartacy – dalej za Bug! [30]

Krótki pobyt legionowych bardów na podlaskiej ziemi zaowocował wieloma utworami poetyckimi, przypominającymi krwawe prześladowania unitów, domagającymi się odwetu, a także będącymi wzorem ofiarnego oporu religijno-patriotycznego[31].

Podlaskie motywy w twórczości artystów

Legendę Józefa Piłsudskiego i Legionów kształtowali artyści, malarze, graficy i rzeźbiarze, szczególne ci, którzy służąc w Legionach tworzyli ją na gorąco. Byli wśród nich zarówno tacy, którzy po 1918 r. pozostali wierni swemu powołaniu, jak i ci, jak Edward Rydz-Śmigły, którzy nie zdjęli już munduru. Do sympatyków legendy legionowej należeli między innymi: Jacek Malczewski, Julian Fałat, Józef Mehoffer, Wojciech Kossak. Artyści odegrali niezwykle ważną rolę w procesie mitologizacji, heroizacji czynu legionowego.

W Legionach Polskich służyło prawie 200 artystów – malarzy, rzeźbiarzy, aktorów, muzyków, architektów. 25 % artystów – żołnierzy otrzymało w Legionach stopnie oficerskie[32]. Wielu artystów, których nazwiska wiążą się z historią Legionów, szło szlakami swoich ojców i dziadów, także dawniej-

[30] F. Biedroń redagował w okopach pisma „Czwartak". Wiersz „Nad Bugiem" był opublikowany w 5 numerze w/w organu prasowego.
[31] K. Stępnik, *Legenda…*, s. 72.
[32] E. Rydz-Śmigły został w okresie międzywojennym marszałkiem, kilku legionistów generałami, m. in. H. Minkiewicz, Cz. Jarnuszkiewicz, M. Zaruski, J. Zamorski, K. Dąbrowa-Młodzianowski, L. Bittner. Ten ostatni był związany z Białą Podlaską, jako dowódca 34 pp, a w okresie okupacji niemieckiej dowódca 9 Podlaskiej DP AK. Ludwik Bittner był m.in. projektantem pomnika Józefa Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlasskiej, odsłoniętego w 1928 r.

szych artystów-żołnierzy, jak A. Orłowski (uczestnik powstania 1794 roku), J. Suchodolski (walczący w 1831 r.), powstańcy styczniowi – A. Chmielowski, (późniejszy Brat Albert – wyniesiony na ołtarze przez Jana Pawła II), L. Benedyktowicz (związany z Podlasiem; ranny – utracił obie ręce, malował przy pomocy protezy własnej konstrukcji).

Wbrew rzymskiemu twierdzeniu, że inter arma silent musae, artyści legionowi bardzo często tworzyli pośród ognia z karabinów i dział. Trwająca przez cały rok kampania Legionów Polskich pochłonęła setki istnień żołnierskich, w tym wielu dobrze zapowiadających się oficerów. Uświadomiła też artystom-żołnierzom jak nierówne są ich szanse w wyścigu z okrutnymi prawami wojny. Odczuwali więc oni pilną potrzebę szkicowania wizerunków wyróżniających się legionistów. Ołówek dawał możliwość uchwycenia przelotnych zdarzeń, nie było bowiem czasu ani warunków, na większe kompozycje ars militaris. W efekcie ich pracy twórczej powstała w latach wojny kilkutysięczna galeria żołnierskich portretów, co jest zjawiskiem bez precedensu w polskiej sztuce. Sam Leopold Gottlieb[33] wykonał blisko tysiąc portretów, w tym J. Piłsudskiego oraz legionistów związanych z Podlasiem – S. Sława-Zwierzyńskiego i A. Narbut-Łuczyńskiego. Majora Sława malował także W. Wodzinowski, a kapitana Narbuta – J. Rembowski. Popularnością artystów cieszyli się „najstarsi" beliniacy, czyli uczestnicy wyprawy za kordon słynnej „siódemki". Do tej elitarnej grupy należał por. S. Hanka-Kulesza, którego uwiecznili: Z. Rozwadowski i K. Maszkowski. O niełatwej pracy malarzy w warunkach wojennych pisał J. Mączka:

J. Rembowski, A. Narbut-Łuczyński, kredka

Pan Maszkowski malarz sławny
Chociaż w bitwie niepoprawny
Choć mu kula czapkę pruje
On maluje i maluje[34]

[33] L. Gottlieb (1879-1934): malarz, rysownik, grafik, malował sceny rodzajowe, biblijne, portrety. W czasie I wojny światowej służył w I Brygadzie LP, był jednym z czołowych ilustratorów epopei legionowej.

[34] J. Mączka (1888-1918): poeta, por. Legionów Polskich, członek POW, autor tomiku wierszy „Starym szlakiem" (1934).

O trudnych warunkach pracy pisał też w swoim dzienniku A. Krasicki: *Włodawa – Świtaź. Czwartek, 2.IX.1915. Przed wyjazdem pozowałem jeszcze artyście malarzowi Wodzinowskiemu, który portretuje oficerów sztabu. Pozowanie było trudne z powodu tysięcy much, ale portret rysowany ołówkiem udał się*[35]. Rozwój legionowego portretu, prezentującego się w wielkiej rozmaitości typów i charakterów, stymulowały dwa inne czynniki – propagandowy i edukacyjny. Dzieła oprócz walorów artystycznych stały się też dokumentami historycznymi.

W pościgu za wrogiem na Lubelszczyźnie i Podlasiu (lipiec – sierpień 1915 r.) artyści rejestrowali przede wszystkim ślady walk i zniszczeń. Woj.-ciech Kossak opisywał mijane tereny: *... zobaczyłem po raz pierwszy tę zbrodnię odchodzących z Polski Moskali ... Systematyczne palenie całych wsi* i *zboża na pniu. Całe wsie szkieletów chałup ... Pustka i cisza, bo wszystko Kozaki popędzili ku swiatoj matuszce Rossii*[36]. Często dymiące się jeszcze pogorzeliska malowali: W. Kołomocki – „Zniszczony kościół w Malowej Górze" (29.VIII.1915) i „Spalony folwark w Tałszynie" (10.VIII.1915)[37]; W. Wodzinowski – „W guberni siedleckiej po ustąpieniu Rosjan roku 1915", „Zamek w Różance spalony przez Rosjan" (1915), „Chłopi uciekający za Bug" (1915); I. Pinaks – „Zgliszcza" (1915) oraz L. Czechowski – „Pogorzelisko" (1915). Malarze legionowi utrwalali także sceny pościgu za wrogiem – np. W. Wodzinowski narysował pamiętne „Przejście przez Bug" (1915) i „Rotmistrz Belina przed wyruszeniem w pole pod Wysokiem Litewskim" (1915), a L. Czechowski „Z pościgu 4 pp za Moskalami" (1915). W tym okresie powstały też sceny z postojów wojsk: J. Stebnowskiego – „Krajobraz z namiotami" (1915),[38] W. Kołomockigo – „Ziemianka gen. Durskiego w Kątach" (31.VIII.1915), L. Czechowskiego – „Postój nad Bugiem" (1915), L. Gottlieba – „Pierwszy odpoczynek" (1915)[39].

Krótkie postoje nie sprzyjały malowaniu pejzaży i scen rodzajowych. W. Wodzinowski namalował „Typy ludowe nad jeziorem Świtezią" (1915)[40]. Nie zachowały się akwarele „Pejzaż z Podlasia" i „Z Podlasia" – obie z 1915 r., autorstwa E. Rydza-Śmigłego.[41] W Jakówkach koło Konstantynowa L. Got-

[35] A. Krasicki, *Dziennik*… s. 324.
[36] Artysta w tym czasie służył w sztabie II Korpusu Armii austro-węgierskiej, w składzie którego walczyła I Brygada. W. Kossak, *Wspomnienia*, Warszawa 1971, s. 299.
[37] Niestety, rysunki W. Kołomockiego zaginęły.
[38] Olej – w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.
[39] Kredka – w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie.
[40] Jezioro na Polesiu na wysokości Włodawy. W. Wodzinowski wstąpił do Legionów śladem swego 15-letniego syna! Wiele prac tego artysty jest w MWP.
[41] Akwarele prezentowane były na wystawie dzieł sztuki „Legiony Polskie" – TPSP Kraków, marzec – kwiecień 1916 (w katalogu pod pozycją 374 i 376). Rydz-Śmigły tuż przed wojną ilustrował książkę J. Piłsudskiego „22 stycznia 1863", gdzie znalazły się rysunki postaci z Podlasia: „B. Deskur" i „R. Rogiński rozstawia wedety". Reprodukcje w książce W.J. Wysokiego: „E. Rydz-Śmigły – malarz i poeta", Warszawa 1997, s. 92 i 93.

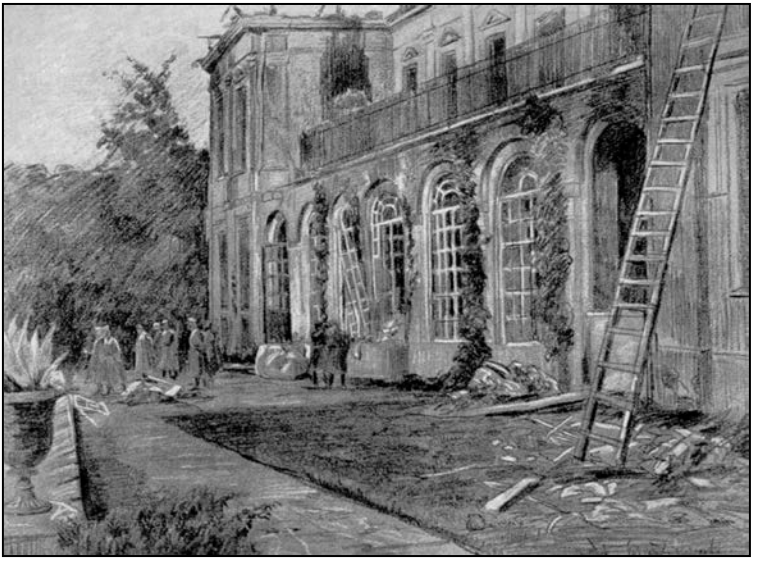

W. Wodzinowski, Zamek w Różance – spalony przez Rosjan w 1915 (repr. na pocztówce, w zb. Sz. Kalinowskiego)

W. Wodzinowski, W Gub. Siedleckiej po ustąpieniu Rosjan w 1915 r., kredka (w zbiorach Sz. Kalinowskiego)

tlieb 18 sierpnia wykonał kredką portret por. Wojsznara[42] (obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie)[43].

Kilku artystów z zaboru rosyjskiego wyruszyło na front z batalionem warszawskim. Dołączyli oni do Legionów na Podlasiu, koło Kopytowa: K. Koźmiński, F. Strynkiewicz, W. Jastrzębowski (autor pracy „Pejzaż podlaski" (13.XII.1915)[44]. Wymarsz ze stolicy 265 peowiaków, pod dowództwem por. T. Żulińskiego, upamiętniony został pod koniec 1915 r. wydaniem jedno-stronnej plakietki ze srebra, według projektu W. Wiśniewskiego. Artyści upa-miętnili również uroczyste wejście Legionów do stolicy (1 grudnia 1916 r.). Uczynił to m. in. Czesław Tański („Wjazd legionistów do Warszawy" (1917), ukazując owacyjne przyjęcie żołnierzy, co tak naprawdę miało niewiele wspól-nego z rzeczywistością[45].

W Karpatach, a potem na Wołyniu, walczyła II Brygada Legionów Polskich, w której służył znany malarz Stanisław Janowski. Był on autorem m.in. portretu kpt. Zygmunta Tarkowskiego ps. „Czechna"[46]. Był to ostatni wizerunek tego oficera, Podlasiaka, bowiem poległ on 5.XI.1915 r. pod Kostiuchnówką na Wołyniu[47]. Pochowany został na cmentarzu w Wołczecku, który namalowany został przez Leona Wyczółkowskiego. Tej wojennej nekropolii poświęcił swój wiersz „Sosny cmentarza" legionista Józef Mączka:

W ciemnych warkoczy zwichrzonej ozdobie
zostały po nas samotne i płaczą
z nieutulonym smutkiem i rozpaczą
za białym Czechny pochylone grobie (…)

J. Piłsudski w rozmowie z J. Fałatem wypowiedział się o roli sztuki podczas walk: *Malarstwo jeśli chce wyrazić wojnę, stoi przed bardzo trudnym*

[42] Jan Opieliński (1891-1918): ps. Wojsznar, z Legionów został odkomenderowany do POW, w Lublinie w 1918 r. – organizował rozbrajanie żołnierzy austriackich.
[43]W. Milewska, M. Zientara, *Sztuka Legionów Polskich i jej twórcy 1914-1918,* Kraków 1999, s.184-186.
[44] Ibidem, s. 213 – pejzaż rysowany w Safianówce podczas przemarszu I Brygady do Karasina na Polesiu (jeśli nie ma pomyłki w tytule, to może to być wcześniej wykonany szkic na Podlasiu, a wykończony na Polesiu).
[45] Czesław Tański (1865-1842) – do czasu opuszczenia Warszawy przez wojska carskie malował obrazy „prorosyjskie". Na Podlasiu jest znany z pierwszych prób lotniczych, dokonywanych nad Bugiem (szybowiec „Lotnia") pod koniec XIX wieku. Przebywając w Janowie malował konie.
[46] Z. Tarkowski: ps. „Czechna", ur. 3.V.1889 r. w Rzeczycy koło Międzyrzeca Podl. Jako dowódca 3. komp. I. baonu 3.pp LP poległ 5.XI.1915 r. podczas straceńczego szturmu na Polską Górę pod Kostiuchnówką. Pochowany na cmentarzu w Wołczecku na Wołyniu (obecnie Ukraina).
[47] W. Milewska, M. Zientara, op. cit. s. 200.

zadaniem, dawne motywy z batalii, szarż i ataków należą do przeżytków ... ja grozę wojny widzę w strzępach walki, gdzie broń i jej skuteczność nie zawsze jest widoczna, ale jej grozę wyraża twarz ludzka ... słowem tak, jak Grottger wojnę rysował ... Pozostaje jeszcze obraz z polskiej krainy znękanej wojną ... posępne obrazy ludu ewakuowanego z ich siedzib i roli, zdarte pociskami lasy i krzyże – krzyże![48]

Ważną rolę informacyjną i propagandową pełniła fotografia, którą wykorzystywano do ilustrowania książek, kalendarzy i albumów. Reprodukowano je także w kilku seriach pocztówek; te z Podlasia były autorstwa T. Langnera. Nie jest łatwo na wojnie o dobre zdjęcie: *Legioniści namiętnie lubią fotografować się i jeść ciasteczka – twierdził Langner. O ciastkach jak wiadomo nader trudno, o fotografie też*[49]. Pocztówki z reprodukcjami dzieł sztuki legionowej były dla większości społeczeństwa jedyną okazją poznania prac artystów. Bardzo ciekawe świadectwo o „ruchomej fotografii" pozostawił po sobie Andrzej Strug: *Przebyliśmy rzekę Bug ... Nie spostrzegłem nawet, że w tym czasie wszyscy my, co do jednego człowieka, począwszy od sztabu, skończywszy na ostatnim taborycie, wlokącym się na ogonie kolumny, zostaliśmy uwiecznieni przez kinematograf. Może będę już bardzo stary i zdziadziały, a ten film zobaczę wiecznie młodym. Cudowny to wynalazek*[50].

Wielu wspaniałych artystów porzuciło pędzel czy rylec, by pośpieszyć w bój o niepodległość Ojczyzny. *Poszło przede wszystkim za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej – poszła sztuka* – powiedział później J. Piłsudski. Brygadier postrzegał znakomitych polskich pisarzy, artystów i poetów, ludzi uduchowionych, jako niezbędnych Polsce przodowników i proroków. W Legionach „skupiła się dusza Polski". Nie tylko dlatego, że były uosobieniem idei niepodległości, także dlatego, że w ich szeregach znalazła się prawdziwa elita społeczeństwa.

[48] Ibidem, s. 276.
[49] „Ilustrowany Tygodnik Polski", Kraków 1915, s. 264.
[50] A. Strug, *Odznaka za wierną służbę,* Warszawa 1921, s. 79.

Stefan Pastuszewski
(Bydgoszcz)

Wizerunek staroprawosławia w potocznej świadomości

Fakt, że staroobrzędowcy byli w Rosji aż do początków XX wieku wyznaniem prześladowanym, choć z różnym oczywiście natężeniem, a w korzystniejszych dla nich okresach co najmniej ograniczanym, a już na pewno działającym nielegalnie, bez prawnego uznania, *sprzyjał w pewnym sensie ich zbliżeniu z Polakami, a przynajmniej budził do nich sympatię.*[1] Była to oczywiście sympatia irracjonalna, na zasadzie współczucia wobec ofiar tego samego przeciwnika, choć starowiercy, nie akceptując poczynań władz carskich, uznawali władzę monarchiczną jako taką, a już na pewno nie przejawiali wobec niej – za wyjątkiem częściowo czynnej wrogości segmentu kozackiego. Sympatia ta ze strony Polaków narażona została na próbę podczas Powstania Styczniowego, również po nim, w dobie programowej rusyfikacji polskich Kresów, a także w okresie II wojny światowej i czasach PRL-u. Niemniej u wielu nadal pozostała, choć nie jest ona raczej oparta na analizie faktów historycznych, czy też elementarnej wiedzy o tym fenomenie etnoreligijnym.

W celu zweryfikowania hipotezy o nikłej znajomości starowierów przez współczesnych Polaków od lipca 2012 do marca 2014 r. przeprowadzono korespondencyjne anonimowe badanie ankietowe, a raczej, z uwagi na jego skalę (zarówno liczbową, jak i merytoryczną), sondaż. Nie miał ono cech typowego badania socjologicznego, a jednym z jego zadań – zgodnie z metodą *research action* – była inspiracja do swobodnych wypowiedzi o staroprawosławiu.

W badaniach socjologicznych bardzo ważny jest dobór próby, w szczególności wtedy, gdy w analizach wykorzystuje się elementy statystyki. Niemniej, różne jest podejście do wielkości tej próby. Instytut Gallupa w Stanach Zjednoczonych dla swoich badań na całości populacji (317,3 mln) przyjmuje próbę wielkości 1500 osób. Pozwala to na utrzymanie granicy błędu na poziomie 1,5 procent. Polskie ośrodki badań społecznych (PBS, CBOS) w analizach dotyczących całej populacji (40 mln) stosują najczęściej próbę 1000 osób, uzyskując granicę błędu 3-5 procent. Tak więc, liczebność próby w róż-

[1] Iryda Grek-Pabisowa, *Staroobrzędowcy – Rosjanie w kulturowym i językowym krajobrazie Polski*, [w:] tejże, *Staroobrzędowcy*, Warszawa 1999, Slawistyczny Ośrodek Wydawniczy, s. 282.

nych badaniach nie jest wprost proporcjonalna do liczby mieszkańców, zaś próba mająca większy procentowy udział w badanej społeczności gwarantuje mniejszą granicę błędu. Próba nie musi być zbyt wielka, kiedy przedmiot badań jest mało liczny, specyficzny i trudny do zdefiniowania, a w dodatku skupiony w jednym regionie, w sytuacji gdy badania dotyczą całego kraju. Takim przedmiotem jest właśnie polskie staroprawosławie. Można mówić wtedy o *przedmiocie ukrytym*, do którego docierają tylko specjaliści i hobbyści, albo ujawnia się on przypadkowo.

O tym, że dobrana w tych badaniach próba była wystarczająca do sprecyzowania ogólniejszych wniosków, przekonuje technika badania. Przeprowadzono je bowiem w dwóch rzutach; najpierw na próbie liczącej 100 osób, potem na próbie liczącej 160 osób, i wyniki uzyskano porównywalne. Wynik ogólny też niewiele odbiegał od wyników cząstkowych.

Sondażem objęto 260 osób z rożnych stron Polski, bowiem ankiety skierowane zostały losowo do odbiorców ogólnopolskiego czasopisma *„Akant”*, z uwzględnieniem jednak relacji terenowych (żaden region nie został wyróżniony). Kilkudziesięciu respondentów zostało poproszonych o przeankietowanie osób postronnych, tak że większość wypełniły osoby spoza kręgu tzw. *inteligencji czytającej i piszącej*. Pytania były bardzo proste, wręcz sondażowe: *1. Czy spotkałem się ze starowiercami?, 2. Czy słyszałem o nich?, 3. Co o nich sądzę? 4. Jaki był (jest) stosunek starowierców do Polaków? 5. Jaki był (jest) stosunek Polaków do starowierców?* Dwa pierwsze pytania były z kafeterią: *tak-nie*, dwa drugie – otwarte. W zakresie danych osobowych podawano jedynie wiek i płeć.

To sondażowe badanie po części starało się wypełnić lukę badawczą, którą zauważył Adam Pogorzelski: *Nigdy nie zwrócono się bezpośrednio do ludzi, by stwierdzić, jak widzą oni najbliższych sąsiadów reprezentujących inną kulturę. Nie dociekano jaki jest obraz tej zbiorowości w oraturze, literaturze i w sztuce*[2]. Nie jest to do końca prawdą, bowiem Krzysztof Snarski w artykule *Stereotypowy i rzeczywisty wizerunek polskiego staroobrzędowca*[3] spróbował zestawić utrwalony na kartach literatury naukowej i powielany przez środki społecznego przekazu wizerunek sprzed co najmniej pół wieku, z jego aktualną odsłoną (pierwsza dekada XX wieku). Zwrócił o uwagę na dokonujące się w ostatnim dziesięcioleciu dynamiczne zmiany w tym zakresie, idące w kierunku odejścia od traktowania starowierów jako *obcych*.

Niemniej, z polskiej literatury naukowej wyłania się taki oto typ staroobrzędowca: martwy, statyczny, niemodyfikowany przez żywe doświadcze-

[2] Adam Pogorzelski, *Przemiany wizerunku polskich staroobrzędowców w polskiej literaturze naukowej i okolicach (1856-1989);* „Almanach Sejneński” 2004, nr 3, s. 259.

[3] Krzysztof Snarski, *Stereotypowy i rzeczywisty wizerunek polskiego staroobrzędowca*; „Rocznik Augustowsko-Suwalski” 2007, t. VI.

nia styczności międzyludzkich, aspołeczny i ahistoryczny, przetwarzający się w legendę, niezmienny – bez względu na miejsce i czas powstania. Obrazy te, nie weryfikowane i bezkrytycznie przyjmowane przez kolejne pokolenia badaczy, stały się częścią polskiej tradycji, nie rzadko tak silną, że przysłaniają bezpośrednie doświadczenia naukowców prowadzących badania terenowe wśród staroobrzędowców. Jest to wizerunek polskiego staroobrzędowca prezentowany najczęściej w tekstach XIX-wiecznych, bazujący na ideologii Cerkwi nowoprawosławnej, powtarzany bezkrytycznie również przez konfesyjnych religioznawców rzymskokatolickich. Ten stereotypowy obraz, będący końcowym produktem mityzacji *obcego*, stanowi poniekąd przedmiot potocznego poznania. Mechanizmy tego procesu są następujące: postępująca deformacja (i z reguły deprecjacja) obrazu *obcego*, rozciągnięcie sądu indywidualnego na całą grupę oraz idealizacja, czy wręcz mityzacja historyczna. Dopiero od lat dziewięćdziesiątych XX wieku wizerunek ten zaczął się zmieniać. Przede wszystkim sąd indywidualny nie jest już rozciągany na całą grupę staroobrzędowców polskich, lecz ogranicza się do zasięgu lokalnego. Wizerunek nie jest statyczny i jednolity, a jako uwarunkowany społecznie i historycznie, staje się zmienny w czasie i przestrzeni, pełen sprzeczności, fragmentaryczny i płynny, a więc zamazany, jakby egzotyczny.

Jednak dla pewnej części społeczeństwa nie jest to już grupa anonimowa, ani nad miarę egzotyczna. Jedna z badanych osób (K 38) stwierdziła, że *daje się zauważyć wzrost zainteresowania tradycją staroobrzędową dzięki nowym technikom komunikacji.*

W ramach niniejszych badań Joanna Bogudał-Borkowska przeprowadziła mini – sondaż wśród 10 młodych mieszkańców Warszawy. Średnia wieku respondentów wynosiła 28,7 lat. Komunikat z tych badań autorka opublikowała na łamach „Świata Inflant", pisząc, że *zdecydowanie nikt z badanych nie posiadał pogłębionej znajomości tematu, stąd poglądy deklarowane w ankietach mogły być intuicyjne*[4]. Część ankietowanych pisała bowiem: *wydaje się, że…* K 47 natomiast, zaanonsowała *niechęć Polaków ze względu na hermetyczną obrzędowość z powodu niewiedzy dotyczącej ich historii i kultury.*

Istotnymi zmiennymi, decydującymi o wyniku przeprowadzonego sondażu – obok wieku, płci i miejsca zamieszkania – na pewno były własne poglądy religijne, ale też polityczne, bowiem starowierzy są z pochodzenia Rosjanami, a narodowość ta jest w Polsce od wieków zestygmatyzowna. Jeśli chodzi o reprezentatywność płci, to może się wydawać, że jest ona nieco zakłócona, gdyż odsetek zbadanych mężczyzn wyniósł 45% całej zbadanej grupy, a kobiet 55%. Specyfiką badanej populacji, gromadzącej głównie osoby

[4] Joanna Bogudał-Borkowska, *Koniec czy początek tolerancji*?; „Świat Inflant" 2013, nr 3, s. 8.

czytające, zawsze jest większy odsetek kobiet (*najlepszymi czytelnikami są czytelniczki*).

Średnia wieku respondentów w przeprowadzonym przez autora badaniu wynosi 49,32 lat. Średnia wieku grupy *nie-tak* wynosi 54,26 lat, grupy *nie-nie* 45,07 lat, a grupy *tak-tak* 48,64 lat. Dowodzi to większego oczytania w pokoleniach starszych, ale też częstszego ich styku ze starowiercami - bezpośredniego lub poprzez przekazy rodzinne z okresu międzywojennego (K 82: *Czasem mówili o nich jako o odmieńcach*). Dużą rolę w rozpowszechnianiu wiedzy w tej grupie wiekowej odegrało czasopiśmiennictwo; odsetek artykułów i reportaży publikowanych po 1975 roku, kiedy temat ten stał się popularny, wynosi aż 85.

Nastawnik zboru w Gabowych Grądach Dmitrij Teirentiejewicz Kapłanow

Podczas zabaw młodzież starowierska tańczy tylko korowody, gdyż parami jest zabronione (Mk 6, 17-29)

Zgodnie z prawidłowością statystyczną (krzywa Gaussa) wypowiedzi pośrednich (*nie-tak*, czyli: *nie spotkałem staroobrzędowców, ale słyszałem o nich*) jest najwięcej, gdyż 43,07 procent. Wypowiedzi negatywnych (*nie spotkałem, nie słyszałem*) jest z kolei wyraźnie więcej, bo 41,15 proc., niż w całości pozytywnych (*spotkałem, słyszałem*), których jest 15,78 proc. Niemniej, co do wiarygodności niektórych odpowiedzi można mieć wątpliwości, zważywszy na odnotowaną przez socjologów polską skłonność do *wypadania w badaniach pozytywnie i z wiedzą*. K 44 (z tej grupy), choć napisała w pytaniach otwartych, *że nie ma zdania*, a zaraz, że *wydaje mi się, że starowiercy starają się za wszelką cenę namówić Polaków na przejście do ich wiary,* co

zważywszy na ekskluzywizm staroprawosławia jest pewnym anachronizmem. Zapewne doszło tu do skojarzenia z egzotycznymi dla wielu Polaków jehowitami. Podobne wyniki uzyskała Magdalena Ziółkowska, przeprowadzając w 2005 r. sondaż wśród przypadkowych osób. Przebadała 40 osób, spośród których tylko 8, czyli 20 procent, *coś na temat staroobrzędowców było w stanie powiedzieć*. Znamienne, że o starowierach nic nie wiedział pracownik naukowy Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie i małżeństwo z Giżycka, a na 8 mieszkańców Augustowa (30.000 mieszkańców) pewną wiedzę na ich temat posiadało tylko dwóch. *Okazuje się, że nawet osoby pracujące w miejscach publicznych, które na co dzień mają styczność z wieloma osobami, nie wiedzą kim są staroobrzędowcy* [5].

Znamienny jest stan wiedzy o staroobrzędowcach w zależności od płci. Tak jak w grupie *średniej*, czyli *nie-tak* można mówić o pewnej przewadze mężczyzn (23,46% mężczyzn, 19,61% kobiet), w grupie *tak-tak*, o drobnej przewadze kobiet, *uważnych czytelniczek* (6,92% mężczyzn, 8,85% kobiet), tak w *grupie niewiedzy*, czyli *nie-nie* zdecydowanie przeważają kobiety (14,62% mężczyzn, 26,54% kobiet). Wniosek ten jednak musi być uzupełniony podkreśleniem męskiej skłonności do popisywania się wiedzą, choćby tylko powierzchowną. Przy tak nikłej wiedzy o staroobrzędowcach, stereotypizacja innowiercy jest jakby mechaniczna, na zasadzie echa, a nie na bazie własnej, choć silnie zasugerowanej przez otoczenie i środki społecznego przekazu, ale jednak zinteralizowanej oceny. Padały określenia: *odstępcy, odmieńcy, dziwni, jakaś sekta, zamknięta grupa, prześladowani przez carat, jak Żydzi, z długimi brodami.* Jeden z respondentów (M 50) zapytał szyderczo: *Czy to takie dziady z brodami, co chodzą po wsiach?*
Niektórzy respondenci mieli zresztą świadomość, że wiedza o staroprawosławnych obrośnięta jest mitami (M 74). Skądinąd trudno się temu dziwić, zważywszy powierzchowną, poszukującą odmienności i sensacji, publicystykę medialną.

W grupie *nie-tak* stosunek do Polaków jako pozytywny określa 20,22 procent, 11,31 procent jako neutralny lub indyferentny, 4,46 procent jako zły, nieufny lub niechętny, a 5,70 procent jako *zależny od sytuacji*. W grupie tej aż 58,31 procent respondentów nie ma zdania na ten temat.

Czasami pogląd oparty jest o lekturę i ma charakter fascynacji. K 26: *Zaimponowało mi trzymanie się zasad, głęboka wiara*. M 61: *Stanowią wyraz tęsknoty za czymś stałym, niezmiennym*. M 65: *Starowierzy to ludzie głębokiej wiary, żyjący wedle surowych reguł, w głębokiej zgodzie ze swoją nauką, nieskazitelni moralnie, stanowiący alternatywę dla społeczeństwa konsumpcyjnego. Sąd mój formułuję na podstawie informacji o nich, jakie znalazłem*

[5] Magdalena Ziółkowska, *Tożsamość staroobrzędowców Gminy Wyznaniowej w Gabowych Grądach* (niepublikowana praca magisterska), Toruń 2006, UMK, s. 125.

w książkach Szałamowa i Sołżenicyna. Dwie osoby poinformowały, że zapoznały się ze starowiercami za pośrednictwem opery z 1897 roku Modesta Musorgskiego (1839-1881)*„Chowańszczyzna”* (K 60, K 64).

W grupie *tak- tak* stosunek do Polaków jako pozytywny określa 40,58 procent, jako neutralny lub obojętny 22,81 procent, negatywny 4,56 procent, a nie ma zdania 32,05 procent respondentów tej grupy. Grupa *tak-tak,* w porównaniu z grupą *nie-tak,* wykazuje większą wiedzę o staroobrzędowcach i zdecydowanie uważa (dwukrotny wzrost), że ich stosunek do Polaków był pozytywny.

Dowodzi to tezy, że w przypadku mniejszości narodowych, religijnych, kulturowych, a szczególnie tak ekskluzywnych jak staroprawosławni, amisze, jehowici oraz żydzi, w świadomości mniejszości utrwalają się przede wszystkim mity negatywne, ciemne. Dopiero bliższe poznanie tych mniejszości, co skądinąd wymaga dużej aktywności własnej, mity te częściowo (pierwszy zapis pamięciowy, engram mocno się utrwala) rozwiewa. Zamiast *nieufności i zdziwienia* (K 25) rodzi się *stosunek życzliwy* (M 67). Wiedza u osób zorientowanych o stosunku starowierców do Polaków jest zbliżona do faktów; należałoby tylko bardziej wyeksponować sferę obojętności i zachowań koniunkturalnych. Chrześcijaństwo starowierców nadaje ich stosunkowi do innych ludzi wymiar pozytywny, jednak ich ekskluzywizm, w tym przekonanie o jedynozbawczości, zniekształca ów stosunek w kierunku egoizmu grupowego. Wskazuje się wtedy na polską niechęć do obcych. K 61, powołując się na wspomnienia swojej matki, mieszkającej w okresie międzywojennym na Suwalszczyźnie, napisała, że starowierzy nie integrowali się z polską ludnością, a ta z kolei nie okazywała im sympatii, *wyrażając się o nich niepochlebnie, że produkują i piją wódkę*[6]. Wsie starowierskie nazywane były *kacapskimi*.

M 66 pisze natomiast o *wyjątkowo przyjaznym stosunku starowierców do Polaków* – w porównaniu do innych etnosów, K 45 i K 47 o poprawie wzajemnych relacji w ostatnich czasach, a K 32: *Kiedyś stosunek do Polaków był zły. Teraz jest dobry, bo lepiej się znamy i lepiej rozumiemy.* K 47: *Starowierzy są zamknięci w swoich społecznościach, ale na prośbę są chętni do dzielenia się opowieściami o swojej wierze i obyczajach.*

Podsumowując, w obu grupach respondentów, a więc tych, którzy zabrali głos na ten temat, mamy 30,10 procent wypowiedzi o pozytywnym obecnie stosunku staroprawosławnych do Polaków, 17,06 procent o neutralnym, 4,98 procent o negatywnym, 2,85 procent o *zależnym od sytuacji*. Niektórzy respondenci wyraźnie zauważają zmianę wzajemnych relacji. K 32: *Było źle. Teraz jest dobrze. Lepiej się rozumiemy.* K 45: *Teraz jest inaczej; neutralnie*. K 47: *Teraz chyba jest normalnie.*

[6] List Barbary Sędzickiej do autora z dnia 27 grudnia 2013 roku.

Pojawiają się też wypowiedzi krytycznie odnoszące się do naszego stosunku wobec innowierców. Znamienne jest stwierdzenie jednego z respondentów (M 39), że staroobrzędowcom *może być trudno żyć wśród polskiego społeczeństwa.* K 38 pisze, że *raczej z naszej strony spotykali się z niechęcią.* M 69, po spotkaniu się ze staroobrzędowcami w latach pięćdziesiątych XX wieku stwierdził, że ich *wygląd i zachowanie budziły u Polaków zaciekawienie i uszczypliwość.* M 58 podkreślił *niechętny stosunek Polaków, jak to zwykle bywa z podejściem Polaków do wszelkich niszowych historii.* Potwierdza to wypowiedź jednej ze starowierek: *Pytają i pytają! Co tydzień ktoś przyjeżdża! Do czego to komu potrzebne? I tak nikt nie nauczy Polaków szacunku dla jakiejkolwiek wiary!*[7]. Podejście to egzemplifikuje wypowiedź M 80, który napisał bez ogródek, że starowiercy to *Indianie środkowej Europy, zastygli od 400 lat na niskim poziomie cywilizacyjnym, kulturalnym i intelektualnym, zanurzeni bez reszty w swoim ciasnym światopoglądzie.*

Wielu respondentów eksponuje brak tolerancji współczesnych Polaków, szczególnie w kwestiach religijnych (M 31, K 48, K 50, M. 57, K 58, M. 65, M. 67). Mówi się o pobłażliwości, uprzedzeniach z powodu odrębności religijno-kulturowej; *ten i ów puka się w głowę* (K 58). M 31 powiedział wprost o naszym charakterze narodowym*: Nie lubimy innych,* a M 58: *Bo to Ruscy do kwadratu, a Polak to katolik itd*. K 50: *Polacy są mało tolerancyjni, zwłaszcza jeśli chodzi o religię i wszystko, co dotyczy wschodu, zwłaszcza „pachnące" Rosją.*

Z tym wielce niesprawiedliwym i wyjątkowo powierzchownym stwierdzeniem kontrastuje wypowiedź M 87, który powołując się na słowa Orygenesa, *Ludzie Boży są solą, która utrzymuje istnienie świata*, nazwał wspólnoty starowierskie *stanicami Stwórcy na ziemi* i porównał je do polskich stanic na Kresach.

Choć obecność staroprawosławia w potocznej świadomości Polaków jest znikoma, to jednak socjolog i historyk Andrzej Sakson, prowadzący w latach 1982-1997 badania na Warmii i Mazurach, odnotował w tym regionie „wzrost zainteresowania rosyjskimi staroobrzędowcami". Przejawiały się one jednak głównie w warstwie symbolicznej, tzn. poprzez publikacje książkowe (w tym ilustrowane albumy), organizację wystaw ikon, ksiąg oraz innych przedmiotów kultu, czy też dyskusje na temat przeszłości, kultury materialnej i duchowej tej ludności, które miały miejsce na specjalnych sesjach naukowych i popularnonaukowych. Także w prasie lokalnej ukazywało się wiele artykułów na ten temat[8].

[7] Magdalena Umięcka, *Pod boskim okiem ikony*; „Tygodnik Solidarność" 1992, nr 29, s. 11.

[8] Andrzej Sakson, *Stosunki narodowościowe na Warmii i Mazurach 1945-1997*, Poznań 1998, Instytut Zachodni, s. 359.

Czesław Maziejuk
(Biała Podlaska)

Ksiądz Paweł Zubko: ofiara systemu komunistycznego (Cz.2)

Ks. Paweł Zubko w oczach świadków

Zaliczam do nich biskupów siedleckich, księży dekanalnych, inne osoby duchowne i świeckie oraz autora niniejszego opracowania.

Biskup Henryk Przeździecki

22 grudnia 1929 r. biskup Henryk Przeździecki udzielił w kolegiacie janowskiej ks. Pawłowi Zubko sakramentu kapłaństwa, a z dniem 4 stycznia 1930 r. posłał go na wikariat w parafii Ostrów Lubelski, gdzie pracował do sierpnia 1931 r. Ponieważ w parafii Gończyce proboszczem był poważnie chory ks. kanonik Marcin Bylicki, biskup szukał odpowiedniego kandydata, którego mógłby ze spokojnym sumieniem posłać do opieki nad chorym kapłanem oraz do administrowania tamtejszą parafią. W oczach opinii biskupa najodpowiedniejszym kandydatem okazał się nie tylko przystojny, zdolny, ułożony i pełen zapału młody wikariusz, ale także odnoszący się do każdego z wielkim szacunkiem człowiek. Biskup H. Przeździecki musiał traktować go jako poważnego, odpowiedzialnego, wyróżniającego się spośród innych, inteligentnego i gorliwego kapłana. Zaufał mu. Ks. P. Zubko był wiceproboszczem parafii Gończyce od 1 sierpnia 1931 r. do 12 września tegoż roku. Zakończenie tej misji podyktowane zostało śmiercią chorego proboszcza i przeniesieniem księdza Pawła na wikariat do Łomaz. Pracował tutaj niepełne pół roku, bowiem biskup zdecydował powierzyć mu funkcję administratora w niełatwej parafii Witulin. Od jej wznowienia

Henryk Przeździecki – Biskup Podlaski

(1 kwietnia 1928 r.) do 1 marca 1932 r., przez niespełna cztery lata, duszpasterzowało tam czterech kapłanów: ks. Antoni Wielgosz, ks. Marceli Matuszelański, ks. Edward Bieliński oraz ks. Mieczysław Klimczyk.

Biskup H. Przeździecki podczas wizytacji parafii Witulin w dniu 24 maja 1937 r. w protokole wizytacyjnym napisał: *Proboszczem od pięciu lat jest ks. Paweł Zubko. Pracuje gorliwie i nie zraża się żadnymi trudnościami. W krótkim czasie pobudował stodołę, ambonę oraz przygotowuje materiały na podwaliny i podłogę w kościele. Z braku organisty, sam prowadzi chór kościelny, przy fisharmonii. Wspaniale prowadzi bractwa kościelne oraz współpracuje z dozorem szkolnym i instytucjami społecznymi, będącymi na terenie parafii*.

Biskup Ignacy Świrski

Kolejny z podlaskich biskupów doskonale znał księdza P. Zubko, wiedział o jego niełatwym losie, naznaczonym trudami i cierpieniem. Zaraz po powrocie ks. Pawła z sowieckich łagrów, w dniu 10 listopada 1947 roku, przesyłając mu nominację na parafię Witulin napisał: *Z całego serca pasterskiego podzielamy radość Drogiego Księdza, że przymusowy jego trzyletni urlop zakończył się szczęśliwie i Bóg miłosierny pozwolił mu wrócić w dniu 25 października r. b. do diecezji i swojej parafii Witulin. Wobec powyższego, z dniem 15 listopada zwalniamy ks. Stefana Sacharskiego, tymczasowego administratora, i powierzamy Tobie, Umiłowany w Chrystusie Synu, dalszą administrację parafii Witulin, stosownie do nominacji, wydanej w dniu 22 marca 1932 roku, Nr 1370.*

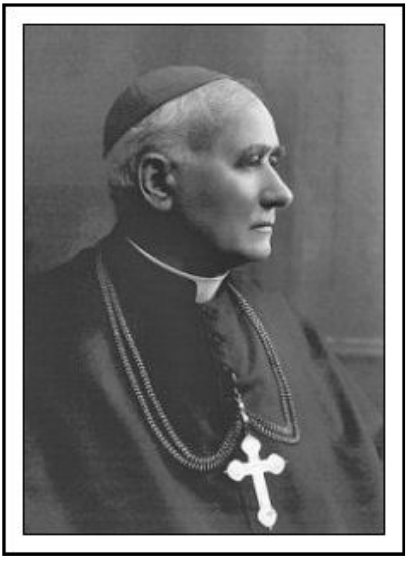

Biskup Ignacy Świrski

Kiedy ks. Paweł obchodził w 1957 r. 25-lecie swego pobytu w Witulinie, biskup I. Świrski, doceniając jego pracę, zaproponował mu objęcie parafii Różanka nad Bugiem. Ks. Paweł odrzekł wówczas, że nie czuje się tego godnym, bowiem należy do księży patriotów. Biskup powiedział wówczas: *A czyż ja o to pytam? Niech ksiądz jedzie tam i zobaczy, a wtedy podejmie decyzję.* Ks. Paweł oczywiście pojechał … i zobaczył. Odczuł jednak, że wyglądano tam młodszego kapłana. Nie doszło wówczas do translokaty. Jak proboszcz wituliński kiedyś się zwierzył: *podziwiałem biskupa za jego serce, otwartość i poszanowanie mojego cierpienia.*

W dniu 11 maja 1967 r. biskup Ignacy Świrski przesłał na ręce ks. Pawła Zubko taki oto list: *Ukochany Księże Pawle! Upłynęło już 35 lat pasterzowania Księdza Pawła w Witulinie. Jest to wydarzenie niezwykłe, prawie bez precedensu, gdy chodzi o małą i ubogą parafię. To ma swoją wymowę. W te 35 lat wchodzą lata spędzone w obozie, ale mogą być tylko podwójnie zaliczone. Ta praca tak pochłonęła Księdza Pawła, że zapomniał o niedostatku i o wielu rzeczach potrzebnych do życia, i widząc ciężki stan swoich owieczek, chętnie i dobrowolnie zapragnął podzielić z nimi ciężki los. Starczyło Mu na to sił wewnętrznych: zapału, ukochania i ofiarności, które ułatwiały Mu pracę, a przede wszystkim głębokiej wiary, która jest dźwignią wszystkiego. I tak upłynęło 35 lat. Były one dobrze wykorzystane, dobrze użyte. One stanowią skarb w niebie. Rozważając to wszystko, pragnę Kochanemu Księdzu Pawłowi złożyć wyrazy uznania i wdzięczności za Jego kapłańską pracę, wyrazy gratulacji i najlepszych życzeń na przyszłość. Na dowód mego uznania, załączam do niniejszego pisma mały dar, upominek dla Niego. Ale, przede wszystkim, z całego serca ślę Kochanemu Księdzu Pawłowi oraz Jego Parafii błogosławieństwo pasterskie.*

Biskup Marian Jankowski

24 sierpnia 1948 r. sufragan podlaski biskup Marian Jankowski przeprowadził wizytację kanoniczną parafii Witulin. W protokole wizytacyjnym pozostawił takie oto świadectwo o proboszczu ks. P. Zubko: *Dobry, gorliwy kapłan, 16 lat pracuje w tej parafii, dużo dobrego tu zrobił. Ostatnio, przez trzy lata był w obozie w Rosji, ucierpiał na zdrowiu i materialnie, gdyż po aresztowaniu go zostało zniszczone jego mienie osobiste, i zrabowane. Nie zniechęca się jednak i z zapałem zabiera się na nowo do pracy. Rozpoczął roboty przy grodzeniu cmentarza grzebalnego i ma zamiar gromadzić materiał na budowę nowej plebanii, ze starej zaś zbudować dom dla służby kościelnej. Naucza religii w miejscowej szkole, głosi Słowo Boże dla dzieci o godz. 9, a dla starszych na sumie, w każdą niedzielę i święto. Jego gospodarstwo domowe prowadzi jego siostra Anastazja Zubko, mająca 56 lat. Na plebanii mieszka również jego ciotka, Anna z Zubków Pacewicz, staruszka, która wcześniej była u niego gospodynią.*

Biskup Wacław Skomorucha

21 czerwca 1963 r. z wizytacją kanoniczną przyjechał do Witulina podlaski biskup sufragan Wacław Skomorucha. W protokole powizytacyjnym napisał: *Biorąc pod uwagę całokształt pracy księdza proboszcza Pawła Zubko, należy stwierdzić duży wysiłek i poświęcenie w jego pracy parafialnej. Trzydziestoletni pobyt w Witulinie, w niełatwych warunkach, nie zraził go, lecz przeciwnie – utwierdził w zapale i wytrwałej pracy dla parafii, którą za-*

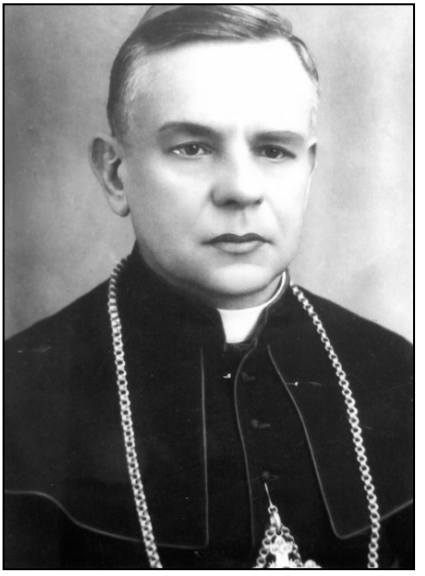

Biskup Marian Jankowski

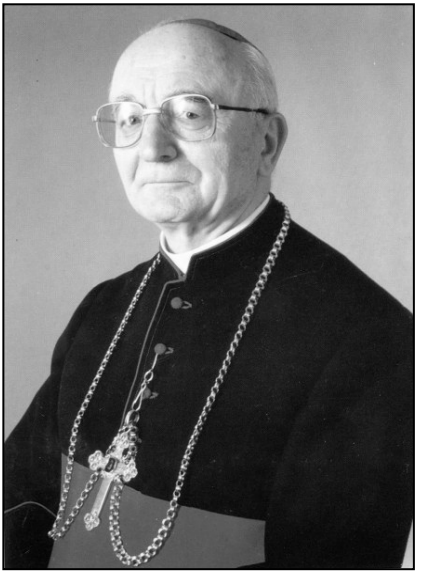

Biskup Wacław Skomorucha

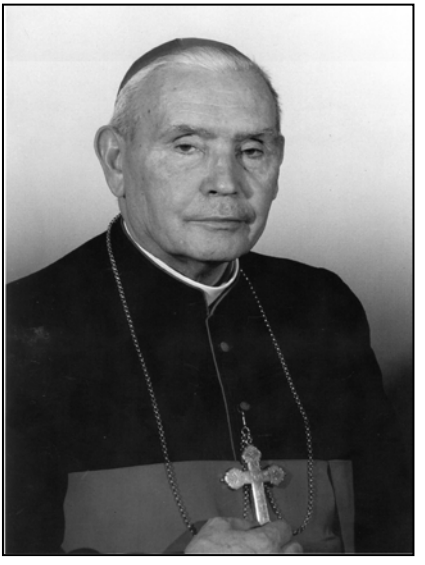

Biskup Jan Mazur

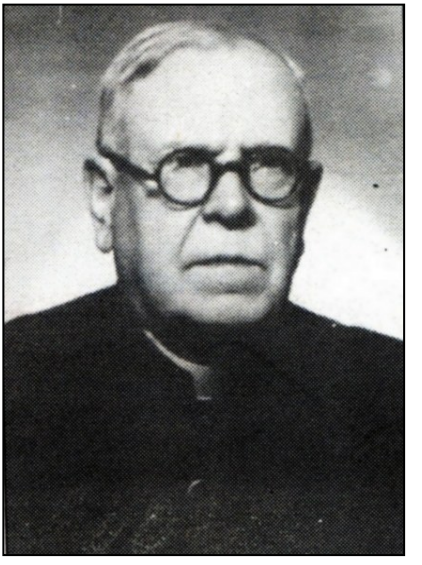

ks. Aleksander Kornilak

równo moralnie, jak i materialnie, dźwiga wzwyż. Zbudował nową murowaną plebanię, ogrodził ją i budynki gospodarcze, zelektryfikował kościół i plebanię oraz zgromadził materiał na dokończenie grodzenia.

Biskup Jan Mazur

Ordynariusz siedlecki biskup Jan Mazur podczas wizytacji kanonicznej parafii Witulin w 1971 r. stwierdził: *Proboszcz ks. Paweł Zubko, pomimo słabego zdrowia, rzetelnie i z oddaniem się sprawuje, prowadzi witulińską parafię – pod względem duchowym i materialnym. Dzięki temu dzieci szkolne w stu procentach korzystają z nauki religii w dwu punktach katechetycznych, z których jeden jest w domu prywatnym, a drugi w pomieszczeniu kościelnym. Dobrze przygotował 68 kandydatów do sakramentu bierzmowania, co w dniu 24 września 1970 roku, egzaminując ich, protokolarnie zaznaczył delegat siedleckiej kurii diecezjalnej ks. Zygmunt Ryciak, proboszcz z Komarna.* 22 sierpnia 1974 r. biskup J. Mazur wystosował takie oto pismo do proboszcza parafii Witulin: *Wielebnemu Księdzu Pawłowi Zubko, Administratorowi parafii Witulin, pozdrowienie w Panu i błogosławieństwo pasterskie. Przychylając się do prośby Wielebnego Księdza Administratora, z dnia 4 lipca 1974 roku, niniejszym z dniem 3 września 1974 roku, zwalniamy Go z urzędu Administratora parafii Witulin i od powyższej daty przenosimy Go na emeryturę, z prawem zamieszkania na plebanii w Witulinie, wyznaczając Mu rentę emerytalną według norm diecezjalnych. Za ofiarną i gorliwą pracę duszpasterską i administracyjną, pełnioną przez 45 lat, w tym 42 lata w Witulinie, wyrażamy Wielebnemu Księdzu Administratorowi serdeczne podziękowania, życząc Mu zdrowia, by i nadal, w miarę swoich sił, służył pomocą kapłańską braciom w kapłaństwie i wiernym.*

Dziekan janowski – ks. Aleksander Kornilak

Ks. Aleksander Kornilak podczas wizyty dziekańskiej w parafii Witulin, przeprowadzonej 30 sierpnia 1932 r., stwierdził: *Ks. Paweł Zubko, od pięciu miesięcy miejscowy proboszcz, już dał się rozpoznać jako wzorowy kapłan. Wszystkie normy zachowuje, jest przykładem życia kapłańskiego, przykładnie głosi Słowo Boże, naucza religii w szkole, z poszanowaniem odnosi się do służby domowej i innych. Troszczy się o podniesienie poziomu religijnego i moralnego swoich parafian. Stara się o uporządkowanie spraw ekonomicznych. Zrobił ogrodzenie przed plebanią. Ma zamiar zbudować boczne ołarze.* Tenże ks. dziekan w 1935 r. napisał: *Proboszcz wituliński chętnie pracuje ze Stowarzyszeniem Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, w Dozorze Szkolnym i w innych instytucjach społecznych, będących na terenie parafii (Kółko Rolnicze, Ochotnicza Straż Ogniowa, Koło Gospodyń Wiejskich), a zacni parafianie chętnie popierają wszystkie jego szlachetne poczynania i kochają swego proboszcza.*

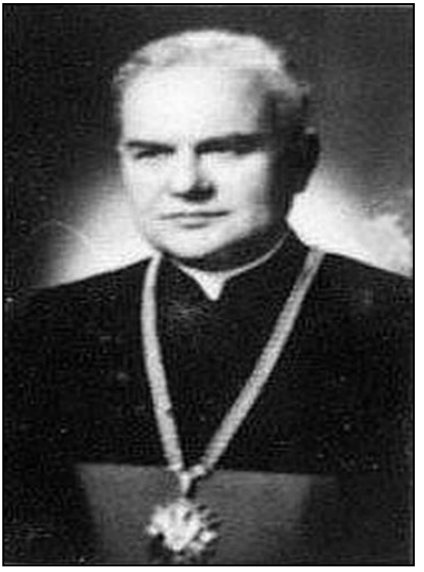

ks. Piotr Zaczyński

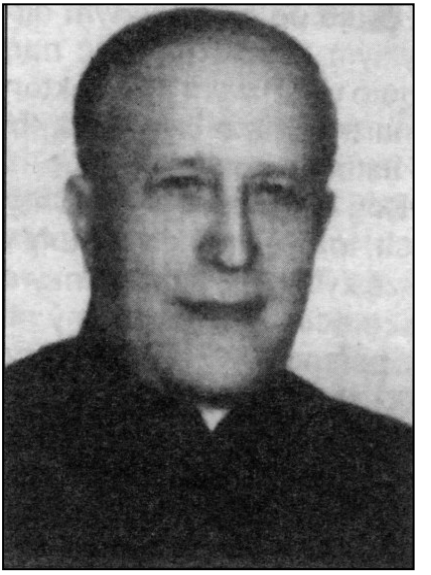

ks. Jan Zubka

ks. Jan Bazak

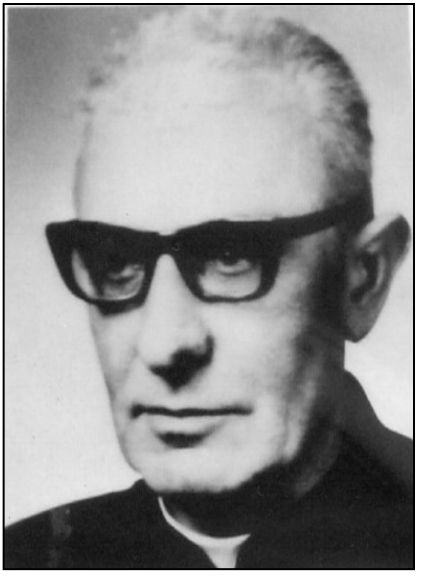

ks. Franciszek Jóźwiak

Dziekan janowski – ks. mgr Piotr Zaczyński

Ks. Piotr Zaczyński był dziekanem janowskim podczas okupacji niemieckiej. Parafię Witulin nawiedził 8 października 1942 r. W protokole powizytacyjnym zanotował: *Proboszcz ks. Paweł Zubko, mimo zagrożenia zewnętrznego (okupacji niemieckiej) i wewnętrznego (grasujących band rabunkowych), działa dla dobra parafian z wielkim poświęceniem. Do parafii należy 35 ha ziemi, oddalonej od kościoła ok. 2 kilometry. Proboszcz uprawia ją sam, dla dobra wspólnego, bo dochód z niej przeznacza nie tylko na swoje utrzymanie, ale i na potrzeby parafii. Tak czynił przed wojną. 1 lipca 1938 r. za swoje pieniądze (450 zł) nabył około jednej morgi ogrodu, położonego między ogrodzeniem plebanijnym, a ogrodami Józefa Hryciuka (od Marii Przywszej, Karoliny Przywszej i Józefy Czapskiej z Przywszejów). Na koniec roku 1939 ujemne saldo w kasie parafialnej (1536 zł 14 gr.) pokrył z własnych funduszów. Tak czyni również obecnie.* W 1943 r. ks. P. Zaczyński zapisał: *Ks. Paweł Zubko z radością i wielkim zaangażowaniem przygotował 35 dzieci do pierwszej spowiedzi i komunii świętej, a ze względu na warunki zewnętrzne, sam przygotował wiernych do spowiedzi wielkanocnej. Sam zachowuje przepisy co do życia kapłańskiego.*

Dziekan bialski – ks. dr Jan Zubka

23 stycznia 1947 r. parafia Witulin została włączona do dekanatu bialskiego. Kiedy ks. Paweł Zubko powrócił 25 października 1947 r. ze zsyłki, ze stacji kolejowej w Białej Podlaskiej – jeszcze w łachmanach obozowych – skierował swe kroki do nowego dziekana, którym był wówczas ks. dr Jan Zubka. Dziekan przyjął go z otwartym sercem, po czym 14 listopada 1947 r. wprowadził w administrowanie parafią Witulin. Tenże dziekan w dniu 26 października 1949 r. w protokole powizytacyjnym parafii Witulin napisał: *Proboszcz ks. Paweł Zubko ma bardzo ciężkie warunki pracy, gdyż z gospodarstwa nie ma dochodów, ze względu na okrutnie zawyżone podatki i obowiązkowe dostawy, a parafia także ich nie daje. Skarży się, że ma ciężko, ze względu na administrację jednocześnie parafią Komarno.* W 1951 r.: *Ks. Paweł Zubko jest gorliwym kapłanem. Chciałby wyjść z Witulina, bo męczy go kłopotliwy dojazd, najczęściej rowerem, błotnistą drogą gruntową, do parafii Komarno. Akcję religijno-moralną przeprowadza przy pomocy Żywego Różańca. Poświęcił uroczyście Naród Polski Najświętszemu Sercu Bożemu. W tym roku nie wizytował parafian, ze względu na słabe zdrowie i ogrom pracy w dwu parafiach.* W 1952 r.: *Ks. Paweł Zubko, choć to kapłan gorliwy, trudno mu pracować na dwu parafiach, czuje się bardzo zmęczony. A oficjalna propaganda robi swoje. Chociaż nie ma zdeklarowanych objawów antyreligijnych w parafii, wśród parafian jest wiele obojętności i brak ofiarności na cele kościelne, uczęszczanie do kościoła słabe, co mówi, że stan duchowy parafian jest mierny.*

W 1953 r. dziekan wyraził proboszczowi słowa uznania i podziękował za trud pracy duszpasterskiej w obu parafiach. Polecił jednocześnie, by definitywnie załatwił sprawę ziemi kościelnej z władzami państwowymi. W 1954 r. ksiądz dziekan zauważył, że *dzięki obchodom roku maryjnego i wizytacji kanonicznej biskupa Ignacego Świrskiego oraz wysiłkom proboszcza wzrosła religijność parafian witulińskich, którzy odnoszą się z szacunkiem do swego duszpasterza, a on cieszy się, że w parafii było już 9 wesel bez wódki.* Pod koniec tegoż roku dziekan bialski, wraz z kondekanalnymi kapłanami, urządził w Witulinie wspaniałe uroczystości z racji 25-lecia pracy kapłańskiej ks. Pawła w tutejszej parafii. W związku z budową nowej plebanii oraz sprzedażą 10 ha ziemi parafialnej część parafian w 1958 r. zbuntowała się przeciwko księdzu proboszczowi. Ksiądz dziekan dr Jan Zubka wystąpił wówczas w jego obronie. W piśmie do biskupa wyjaśniał, że oskarżenia proboszcza przez parafian są „bezpodstawne i podłe". Napisał m.in.: *Po sprzedaniu tej ziemi, na co Jego Ekscelencja dał pozwolenie, pozostanie przy parafii jeszcze 25 ha (17 ha ornej, 5 ha łąk i 3 ha nieużytków). Mniemam, że ta ilość aż nadto wystarczy. Owszem, według mego rozumienia, należałoby jeszcze około 5 ha sprzedać.*

Dziekan bialski – ks. mgr Jan Bazak

Nowy dziekan bialski, ks. mgr J. Bazak, wizytując tą parafię w 1969 r., o proboszczu witulińskim wydał takie oto świadectwo: *Od 38 lat obowiązki swoje spełnia gorliwie, wśród parafian ma duże uznanie i życzliwość, co widać z tego, że przy remoncie kościoła osobiście i swoim groszem pomagają. Żadnych skarg na swego proboszcza nie zanoszą.*

Dziekan bialski – ks. dr Franciszek Jóźwiak

Kolejny dziekan bialski, ks. dr Franciszek Jóźwiak, 8 grudnia 1973 r, w protokole wizytacyjnym napisał: *Kościół, budynki gospodarcze i plebania są w dobrym stanie, co świadczy o zaradności ks. Pawła Zubki. Ostatnio zbudował ołtarz soborowy, dębową ambonkę, zradiofonizował kościół, z racji 400 –lecia parafii zrobił pamiątkową płytę i żelazną balustradę na balkonie plebanii oraz wewnątrz plebanii, umeblował punkt katechetyczny. Ponieważ był słaby fizycznie, w tym roku w pracy duszpasterskiej pomagali mu ojcowie paulini z Leśnej Podlaskiej. Wszystkie akcje duszpasterskie były prowadzone, a ludność chętnie słuchała i szanowała swego długoletniego duszpasterza, który zna wszystkich od dziecka.*

O. Jerzy Tomziński – paulin

Na początku lat pięćdziesiątych XX w. o. Jerzy Tomziński i ks. P. Zubko uczyli religii w parafii Leśna Podlaska. Ks. Paweł, proboszcz wituliński – w Liceum Pedagogicznym, a o. Jerzy – w Szkole Ćwiczeń. W roku szkolnym 1951/52 obaj zostali usunięci ze szkół. O. Jerzy dlatego, że dla ówczesnych władz państwowych, jako „persona non grata", nie mógł przebywać w Leśnej, a ks. Paweł, bo *takie życzenie miała młodzież licealna.*

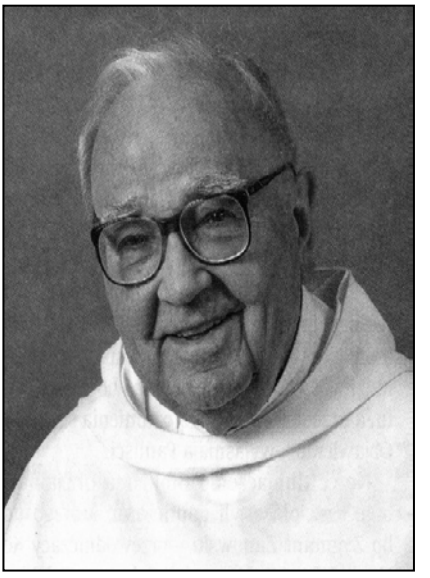

o. Jerzy Tomziński

W 2006 roku stała się bardzo modna lustracja duchownych, podejrzanych o współpracę z UB. Wówczas to o. Tomziński, pomimo 88 lat cieszący się dobrym zdrowiem, przebywający wówczas na Jasnej Górze w Częstochowie, zapytany został przez dziekana bialskiego ks. infułata Antoniego Laszuka o opinię na temat współpracy ks. Pawła Zubko z UB, bardzo poważnie i stanowczo stwierdził: *Jakiż to był współpracownik UB? To zawsze był nasz człowiek, który nie krył się ze swoją przynależnością do księży patriotów, który uprzedzał duchownych o grożących im niebezpieczeństwach ze strony UB i stawał w ich obronie. Doświadczony okrutnymi przesłuchaniami, trzyletnim pobytem w sowieckich łagrach, a po powrocie, ciągłym nachodzeniem i straszeniem przez ubowców, stał się ofiarą systemu komunistycznego. Żył w ciągłej niepewności jutra. Dlatego z wielką wiarą modlił się często przed obliczem Matki Bożej Leśniańskiej, jak mówił, swojej Wybawicielki.*

Ks. Zdzisław Matejuk

Proboszcz parafii Szczałb, pochodzący z Witulina, zapytany w 2006 roku czy cokolwiek wie o ks. Pawle Zubko, odpowiedział: *Ja go niewiele pamiętam, ale starzy ludzie w Witulinie wspominają, że ów ksiądz z łagrów sowieckich wrócił nie ten sam. Stał się jakoś dziwnie zamyślony, smutny i małomówny, jakby zastraszony.*

Ks. kanonik Władysław Proczek

W momencie powrotu ks. P. Zubko z wygnania ks. W. Proczek był wikariuszem w dziekańskiej parafii Narodzenia NMP w Białej Podlaskiej. Pracował tam około pięciu lat. Często spotykał się on z ks. P. Zubko, więc dobrze go poznał. Kiedy był już na emeryturze (w Konstantynowie), 12 września 2005 r. złożył obszerne świadectwo: *Ks. Paweł Zubko był kapłanem z powołania, gorliwym, życzliwym dla wszystkich, wymagającym od siebie, odpornym na cierpienie, a jednak pod wpływem bezwzględności ubowców, w obawie przed powtórnym przeżywaniem katorgi sowieckiej, a może nawet śmierci, załamał się psychicznie i dał się wmanewrować w szeregi księży patriotów. Przed nikim tej przynależności nie ukrywał, więc nie mógł być tajnym współpracownikiem UB!* Ks. W. Proczek, przedstawiając pobyt ks. Pawła na wygnaniu, powiedział: *Razem z ks. Pawłem Zubko w łagrach sowieckich byli: Stefan Rusecki – dziedzic z Jakówek, a po powrocie do Ojczyzny dyrektor PGR w Konstantynowie; ks. Aleksander Kornilak – dziekan janowski, jako proboszcz parafii Konstantynów, a po powrocie do kraju proboszcz parafii Kąkolewnica; Piotr Wereszko z Zakanala. Wszyscy oni zgodnie twierdzili, że ks. P. Zubko w obozach prowadził swego rodzaju duszpasterstwo i był tym, kto potrafi pocieszać i wzbudzać nadzieję, bardzo konieczną do przetrwania w realiach obozowych.*

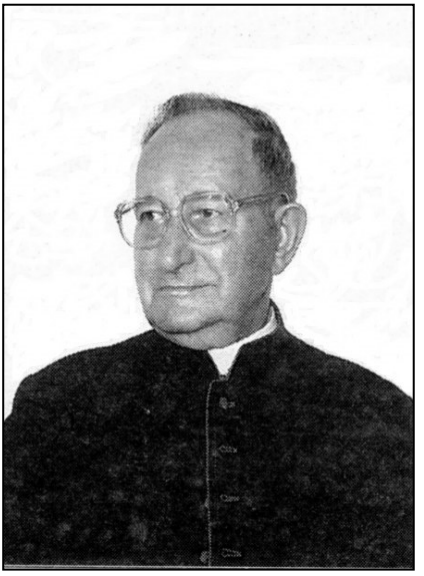

ks. Władysław Proczek

Aby słuchacz lepiej zrozumiał losy księdza P. Zubko, ks. W. Proczek posłużył się przykładem wziętym z jego życia: *Ks. Jan Żuk, kapłan diecezji wileńskiej, wyświęcony w 1920 r., po aresztowaniu przez NKWD w 1944 r. był przesłuchiwany i zesłany na Syberię, gdzie najdłużej przebywał nad Jenisejem. Do Polski wrócił po pięciu latach. Jako 60-letni kapłan został proboszczem w parafii Żeszczynka, diecezji siedleckiej, gdzie pracował przez 10 lat. W 1970 r., już jako emeryt – przebywający w Rossoszu, podczas obchodów 50-lecia swego kapłaństwa opowiadał ks. Władysławowi Proczkowi, że przesłuchania przez NKWD i UB były okropne, depczące godność ludzką. Podczas jednego z nich, gdy nie chciał nikogo wydać, a nastała cisza w pomieszczeniu przesłuchania, usłyszał z pomieszczenia na dole okrutny jęk. Wtedy przesłuchujący krzyknął: „Mów, co wiesz, bo inaczej będą cię przesłuchiwali tam, na*

dole"! Gdy skończyły się przesłuchania i skazano ks. Jana na pobyt na Syberii, wtłoczono go wraz z innymi jeńcami do bydlęcego wagonu. Gdy pociąg ruszył, ks. Jan Żuk zaszył się w kąt wagonu; przywarł do niego, jak do najlepszego przyjaciela i zaczął śpiewać. Wymęczonym głosem nucił: Te Deum, laudamus - Ciebie, Boga, wysławiamy. Dziękował tak Bogu, za to, że już nie będzie tak potwornie przesłuchiwany. To nic, że jedzie na wygnanie, gdzie będzie ginął z tęsknoty, ale już nikt nie będzie nad nim się znęcał w bestialski sposób. Oto, jak można nie tylko upokorzyć człowieka, ale zgnębić i wdeptać w najgorsze błoto, i to tak, by nie mógł rozprostować się, powstać.

Na zakończenie swego świadectwa ks. kanonik W. Proczek powiedział: *Dobrze się stało, że ktoś chce ukazać postać umęczonego ks. Pawła Zubko, proboszcza z Witulina, w świetle zgodnym z prawdą i rzeczywistością: Był on prawdziwie kapłanem Chrystusowym, a jednocześnie ofiarą systemu komunistycznego.*

Elżbieta Ostrowska-Czekanowska

W/w absolwentka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej w czasopiśmie „Echo Leśniaków"(nr 9/10, R.2005/2006) opisała takie oto zdarzenie: *Pewnego październikowego, chłodnego, późnego popołudnia 1947 r., wybrałyśmy się z Hanką na nabożeństwo różańcowe. Przyszłyśmy kilkanaście minut wcześniej, więc kościół był jeszcze pusty. Podeszłyśmy do balasek, by chwilę pomodlić się przed obliczem Matki Bożej. Ku naszemu zaskoczeniu między ołtarzem a balaskami, na gołej posadzce, leżał krzyżem jakiś człowiek. Był licho ubrany, lecz naszą uwagę przykuły jego stopy. Obute były w trzewiki, a ściślej mówiąc w coś, co przypominało trzewiki, co kiedyś nimi było. Cholewki jeszcze się zachowały, lecz zelówek prawie wcale nie było. Widać więc było doskonale gołe stopy leżącego krzyżem człowieka. Po chwili ów człowiek podniósł się z trudem, odwrócił się do wyjścia, i wtedy go poznałyśmy. Był to wychudzony i mocno zabiedzony ks. Paweł Zubko. Powrócił z zesłania i pierwsze swe kroki skierował do Leśniańskiej Matki, by podziękować swej Wybawicielce za uratowanie życia. Widok tego leżącego krzyżem człowieka i jego bosych stóp prześladował mnie później przez wiele lat.*

Wspomnienia autora niniejszego artykułu – ks. Czesława Maziejuka

Znałem ks. Pawła Zubko od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Moja rodzina przeprowadziła się latem 1938 r. ze wsi Terebela na kolonię, leżącą na posiadłościach terebelskich (przy granicy z polami jagodnickimi), w odległości półtora kilometra – przez łąki i rzekę Klukówkę – od kościoła witulińskiego. Na naszym podwórku słyszeliśmy turkot i gwizd wąskotorowej kolejki, zdążającej z Białej Podlaskiej do Konstantynowa i z powrotem (przez Wi-

tulin), jak również piękny, pełny głos kościelnego dzwonu. Bardzo często bywałem w witulińskim kościele na nabożeństwach, wraz z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Tamtejszy proboszcz ks. P. Zubko przygotowywał mnie i brata Tadeusza – podczas okupacji niemieckiej – do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. Od tamtego czasu pamiętam już go doskonale.

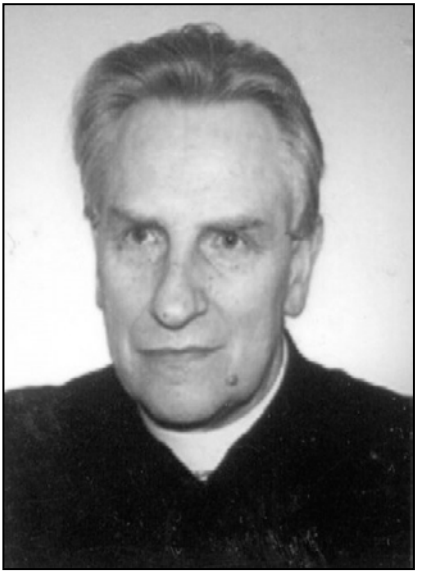

ks. Czesław Maziejuk

Zapamiętałem m.in. nieszpory na zakończenie starego roku. Po psalmach ks. Paweł pięknym czystym głosem zaintonował *Te, Deum, laudamus… – Ciebie, Boga, wysławiamy*. Odezwał się wówczas chór dzwonków, a zebrani śpiewali uroczyście – po łacinie – ten hymn dziękczynienia: za łaski, jakie otrzymali w kończącym się roku. Gdy nastała cisza, ks. Paweł wziął w swe ręce Najświętszy Sakrament w monstrancji i potężnym głosem zaśpiewał *Salvum fac populum Tuum, Domine, et benedic haereditati Tuae…* Gdy błogosławił Najświętszym Sakramentem czułem, że błogosławieństwo Boże spływa na klęczący w pokorze lud. Rozumiałem, że wzywa Boga: *Zbaw, Panie, Twój lud i błogosław dziedzictwu Twojemu*!

Gdy miałem 13 lat, jesienią 1947 r., szerokim echem odbiła się wieść, że proboszcz wituliński wrócił z zesłania. W Terebeli opowiadano, że również tam, w odległym sowieckim Riazaniu, organizował modły, odprawiał mszę świętą przy swojej pryczy więziennej, spowiadał współwięźniów, a gdy zachodziła potrzeba udzielał sakramentu małżeństwa. Zaraz po aresztowaniu, upodlonego przez funkcjonariuszy NKWD i UB ogarnął lęk i strach przed bezwzględnością oprawców, wyrafinowanymi sposobami dręczenia fizycznego i moralnego, dozowanymi perfidnymi metodami. Niedługo był jednak w takim stanie, ponieważ dużo się modlił, a i moralnie wspomagali go współwięźniowie, oficerowie AK i nauczyciele. Wróciła mu więc odwaga z lat młodości i okupacji niemieckiej. Odtąd podnosił wszystkich na duchu, zachęcał do oddania się w ręce wszechmogącego Boga. Tak właśnie wspominał go współwięzień, nauczyciel z Jabłonia o nazwisku Robak, gdy dowiedział się później o przykrościach jakich doznał wituliński proboszcz w nowej rzeczywistości: podczas przechodzenia frontu obrabowały go wojska sowieckie, po aresztowaniu zaś, władza ludowa skonfiskowała mu inwentarz żywy oraz wszystko to, co urosło na polu.

Doskonale pamiętam jak ks. P. Zubko po powrocie z łagrów sowieckich opowiadał w niedzielę wielkanocną z ambony o tym, jak przeżywał ostatnie święta wielkanocne w Riazaniu: *Była noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego. W wielkiej sali więźniowie już spali na swych pryczach, a ja nie mogę zasnąć. Zastanawiam się, co jutro, w dzień wielkanocny, powiem współcierpiącym, jak ich pocieszę? Gdy tak zastanawiałem się, w pewnej chwili do naszej sali weszła jasna, świetlana, wielka postać. Przeszła między pryczami, a ja usłyszałem głos: „Chrystus zmartwychwstał!" Wydaje się mi, że nie spałem, że zobaczyłem Anioła Pańskiego, jak niewiasty przy pustym grobie Chrystusa. To zdarzenie tak na mnie wpłynęło, że już wiedziałem, co mam powiedzieć. Ta noc dla mnie była pracowita, bo kto chciał z moich towarzyszy niedoli, wyspowiadał się. A nad ranem, gdy władze łagru jeszcze mocno spały, przy ołtarzu, którym była moja prycza, odprawiłem mszę świętą rezurekcyjną. Po ewangelii powiedziałem: Chrystus zmartwychwstał! Pokonał to, co jest najgorsze w życiu człowieka, śmierć. Okazał swą największą, bo Bożą moc. On i o nas nie zapomni. Swoją mocą wesprze i powróci do umiłowanej Ojczyzny i domów rodzinnych. Zawierzmy Zmartwychwstałemu! Nie traćmy ducha, nie traćmy nadziei! On to uczyni, że nasza Ojczyzna będzie wolna, a my w Niej, wolni obywatele.*

Mówił dalej, a my słuchaliśmy … i razem z nim przeżywaliśmy, jak byśmy tam byli: *Gdy przyjęliśmy komunię świętą, podczas tej Mszy świętej, tam w Riazaniu, poczuliśmy się jako wolne dzieci Boże w rękach Tego, co wszystko może. Podobnie i dla nas Chrystus zmartwychwstał, dał nam wolność osobistą i narodową. On wzywa nas, byśmy zmartwychwstali na duszy, pokonując w swoim życiu to, co zadaje jej śmierć – grzech. Jak więźniowie w Riazaniu, tak i my uwierzmy, że tylko z Chrystusem będziemy szczęśliwi, mimo cierpienia, szczęśliwi na ziemi i w wieczności!*

W naszych oczach, dorastających wówczas chłopców, ks. P. Zubko jawił się jak prorok. Takim go widzieliśmy, gdy pod wiekowymi lipami, otaczającymi wituliński drewniany kościół, nauczał katechizmu, gdy stał i klęczał przy ołtarzu lub na ambonie, gdy siedział w konfesjonale, gdy szedł do kolejki wąskotorowej, jechał rowerem lub odpoczywał w cieniu drzew. Nie mieliśmy wątpliwości, że on prowadzi do Boga.

W latach 1954-1960, gdy byłem alumnem Wyższego Seminarium Duchownego w Siedlcach, wielokrotnie byłem świadkiem jego życia w kościele, na plebanii, w różnych, nie zawsze radosnych sytuacjach. Zawsze i wszędzie odnosił się do mnie z kapłańskim taktem. Wspomagał mnie, jak tylko mógł i potrafił. Gdy po studiach filozoficznych w Drohiczynie n/Bugiem przeniosłem się na studia teologiczne w Siedlcach obdarował mnie podręcznikami w języku łacińskim (do teologii dogmatycznej i moralnej), które można było zdobyć jedynie u starszych księży. Jako kleryk z wielką radością

usługiwałem mu przy mszach świętych. Po ich zakończeniu, po krótkim dziękczynieniu, zawsze zabierał mnie ze sobą na śniadanie. Wiele wówczas opowiadał; poruszał różne tematy, m.in. związane z życiem księży, wciągał mnie do dyskusji. Imponował mi swoją pobożnością, wiedzą, cierpliwym znoszeniem trudów życia, płynącą z głębi duszy gościnnością. Z wdzięczności, jaką chciałem mu okazać, przez dwa lata jeden wakacyjny miesiąc poświęcałem na pomoc w przygotowywaniu dzieci do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. Widziałem wówczas i podziwiałem jego troskę o rzetelne przygotowanie dzieci do życia chrześcijańskiego, radosne ich wprowadzanie w tajemnice wiary. A on, gdy otrzymałem święcenia kapłańskie, okazał mi swoją wdzięczność, zapraszając na mszę świętą prymicyjną do Witulina i urządzając po niej uroczysty obiad, na który zaprosił też moją najbliższą rodzinę oraz swoich przyjaciół.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy pracowałem w różnych parafiach diecezji siedleckiej, zawsze z radością odwiedzałem ks. P. Zubko. Serdecznie rozmawialiśmy o naszych sprawach. Niejednokrotnie zwierzał się mi ze swoich tajemnic, zazwyczaj wtedy, gdy wychodziliśmy przed plebanię, na podwórko, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć. Pewnego razu żalił się: *Jaki ja byłem głupi, zaszczuty przez UB, poniżony i zgnębiony przez NKWD, dotknięty okrutną chorobą żołądka, obciążony niemożliwymi do wykonania obowiązkowymi dostawami i podatkami za ziemię parafialną, zaniepokojony zamordowaniem przez UB radzyńskie księdza Niedzielaka z Polskowoli, że zgodziłem się na branie udziału w zebraniach pokojowych, organizowanych przez władze świeckie, że w ten sposób przylgnęła do mnie nazwa „ksiądz patriota". Ja zaś, służąc ze wszystkich swoich sił świętemu Kościołowi, chcę służyć Ojczyźnie, jak przed wojną i podczas okupacji niemieckiej, jako normalny kapłan Chrystusowy. Nie wyrządziłem żadnej krzywdy Kościołowi, ani któremukolwiek księdzu. Zawsze stawałem w obronie poszczególnych księży, spraw duchowych i materialnych parafii, a gdy była okazja, również całego Kościoła.* Po chwili wiele znaczącej ciszy kontynuował swoje wyznanie: *Ja zawsze otrzymywałem rozgrzeszenie w konfesjonale, co było moją pociechą i zachętą do dalszej wytrwałej pracy duszpasterskiej, bez oszczędzania siebie.*

Chociaż był przygnębiony z powodu trudnych przeżyć, lubił też żartować. Na zakończenie tych zwierzeń, z lekkim uśmiechem powiedział: *Teraz mogę czuć się jak Hans Kloss z filmu „Stawka większa niż życie". On był w wojsku niemieckim i służył Polsce. Tak i ja, mając kontakty z SB, całą duszą służyłem Kościołowi i Ojczyźnie. Ooo, przepraszam, to był żart, a sprawa jest poważniejsza.*

Ks. P. Zubko był bardzo wrażliwym na potrzeby drugiego człowieka. Podczas swojej pracy kapłańskiej organizował pomoc ubogim. Gdy po II Wojnie Światowej jego brat Kazimierz, z dziećmi, dalszą krewną Julią Rudz-

ką i jej córką Wandą stali się repatriantami ze Wschodu, przyjął ich pod swój dach. Chociaż sam żył ubogo, troskliwie się nimi zaopiekował. Na prośbę organisty, który miał schorowaną starą ciotkę Kaśkę Nitychoruk, przyjął ją do oddzielnego pokoiku w nowej plebanii i zaopiekował się.

***

W niniejszym opracowaniu, posługując się w szczególności dokumentami z archiwum dziekana bialskiego oraz przeprowadzonymi wywiadami wśród osób duchownych i świeckich, starałem się zgodnie z prawdą i swoim sumieniem przedstawić życie i działalność podlaskiego kapłana, tego, który doznał wiele zła. Potrafił jednak wszystkim przebaczyć, także tym, którzy go boleśnie skrzywdzili.

Z obowiązku powinniśmy okazywać wdzięczność i podziw wobec tych, którzy mimo prześladowań nie poddawali się bezwzględnym represjom ze strony funkcjonariuszy UB oraz SB. Okazywali oni moc i hart ducha! Chwała im za to! Do kategorii tych osób należy zaliczyć również ks. Pawła Zubko. W sytuacji w jakiej się znalazł po powrocie z wygnania, w ciągłym oczekiwaniu na polepszenie swojego losu, nie załamał się. Trwał na swojej witulińskiej placówce … i pomagał potrzebującym. Potępiać możemy jedynie tych kapłanów, którzy dobrowolnie, z własnej woli i chęci, współpracowali z Urzędem Bezpieczeństwa, tych, którzy bezkrytycznie wypełniali ich polecenia, by szkodzić Kościołowi.

.

Alina Wojniakiewicz *(z d. Daniluk)*
(Biała Podlaska)

Dom i szkoła: bialskie wspomnienia z lat 1945-1948

Niniejszy tekst stanowi kontynuację wspomnień autorki z lat okupacji, drukowanych w numerze 4/2013 i 1/2014 PKK (red.)

W Białej Podlaskiej – we własnym domu

Zamieszkanie w Białej było dla naszej rodziny koniecznością życiową. Wszystkie trzy córki musiały chodzić do gimnazjum, to i Mamusia nie miałaby możliwości utrzymać nas na stancji. Miałyśmy przecież własny dom w Białej, to i trzeba było jakoś zdobyć się na zamieszkanie w nim. Mamusia miała obiecaną pracę w szkole, nawet blisko, bo w „piątce" na Woli. Gorzej było z mieszkaniem. Lokatorzy mieli w nim przydziały kwaterunkowe, więc uważali, że dostali mieszkanie od państwa na zawsze. Mieszkały tam rodziny 3–osobowe, w 3–pokojowych mieszkaniach. Przeważnie wynajmowali pokój od frontu, z oddzielnym wejściem dla sublokatorów. Płacili za mieszkanie 50 zł, a od sublokatora brali 60, a nawet 80 zł.

Mamusia otrzymała z kwaterunku przydział na dwa pokoje, oczywiście we własnym domu, z oddzielnym wejściem od frontu. Były one odebrane lokatorom – jeden na dole, drugi na górze. Mimo tego, że Mamusia miała nakaz z kwaterunku, to lokatorzy nie chcieli nas wpuścić. Jak przyjechała z rzeczami ze wsi, to zostały one złożone w ogrodzie przed domem. Mamusia poszła wtedy po milicję. W efekcie funkcjonariusze władzy ludowej wymusili wpuszczenie nas do tych pokoi. Gospodarze ze wsi już odjechali, to i nie miał kto Mamusi pomóc przy wnoszeniu mebli do mieszkania. Na szczęście przyjechałam i ja do Białej, wraz z Jędrkiem (partyzantem), więc razem pownosiliśmy je do pokoi i ustawiali. Kuchnię urządziłyśmy na dole, w przedpokoju, z maszynką elektryczną, garnkami i naczyniami. My, dziewczynki, zamieszkałyśmy na górze, a Mamusia na dole. Było „ciasno, ale własno". Dołączyła do nas jeszcze Krysia Szpilówna, córka gospodarza z Kolembród, koleżanka mojej siostry Basi – z tej samej klasy. Zamieszkała u nas na stancji. Byłyśmy bardzo zadowolone z nowego mieszkania. Rozkoszowałyśmy się światłem elektrycznym, szczęśliwe śpiewałyśmy i tańczyły w wolnych chwilach. Łazienkę zrobiłyśmy w przedpokoju na górze; stał tam stołek z miednicą, wiadra

na czystą i brudną wodą. Wodę nosiłyśmy ze studni, a podgrzewałyśmy ją grzałką elektryczną. Gotowanie obiadów, na jednej maszynce, w ciasnym przedpokoju, bez stołu, było bardzo utrudnione. Wigilię i Boże Narodzenie spędzałyśmy jak zwykłą niedzielę. Pamiętam, że zaniosłyśmy do piekarni

Maria Daniluk z córkami

Konwickiego jakieś ciasto do pieczenia. I było to chyba jedyne urozmaicenie. Na któryś ze świątecznych dni zaprosiła nas do siebie mama mojej koleżanki z „Handlówki" – Zosi Kratównej. Mogłyśmy u nich zjeść co nieco świątecznego.

Lokatorzy nie byli zadowoleni z tego, że właścicielka zamieszkała w swoim własnym domu, gdyż dotychczas to oni czuli się tutaj właścicielami. Korzystali nie tylko z mieszkania, ale i z dużego ogrodu. Mogli też trzymać kozy, kury i króliki, uprawiać warzywa w ogrodzie, korzystać z owoców naszych drzew. Nic za to nie płacili. Nastał jednak czas, że właścicielka (gospodyni) także zapragnęła korzystać z ogrodu, co im się nie podobało.

Kłopoty z przyjęciem do gimnazjum

Całe wakacje czekałyśmy, aby panu Batce, dyrektorowi gimnazjum w Komarówce, udało się załatwić uprawnienia państwowe dla jego szkoły (tak nam obiecywał). Nie miałybyśmy wówczas kłopotów z przyjęciem do państwowego gimnazjum w Białej. Od wiosny Ministerstwo jednak zwlekało z wydaniem ostatecznej decyzji. Do końca roku szkolnego jej nie wydali, obiecywali na początek nowego roku. Sprawa się przeciągała, bowiem p. Batko nie był dobrze widziany u władz PRL-u. Po pewnym czasie dowiedziałyśmy się od jego rodziny, że został aresztowany. Następnie przebywał

w więzieniu i nie powrócił już na swoje stanowisko dyrektorskie do Komarówki. Po kilku miesiącach bardzo poważnie zachorował w więzieniu na nerki i został zwolniony do domu. Jego żona w tym czasie podjęła pracę w Busku Zdroju, w Sanatorium Dziecięcym „Górka", gdzie dyrektorem szkoły specjalnej był jej brat. Pan Batko pojechała więc do swojej rodziny w Busku, wkrótce jednak zmarł. Kilka lat później jego koledzy z BCh zabiegali o nadanie Gimnazjum w Komarówce imienia Waleriana Batki, lecz władze lokalne się nie zgodziły. Gimnazjum w Komarówce uprawnienia państwowe otrzymało dopiero w następnym roku. Szkoła ta istnieje do dziś, obecnie w nowym, ładnym budynku.

Basia i Krysia Szpilówna z koleżanką Bożenką

Ponieważ miałyśmy świadectwa z gimnazjum nie posiadającego praw państwowych, nie mogłyśmy być przyjęte bez egzaminów do gimnazjum bialskiego. Na prośbę Mamusi dyrektorka Aniela Walewska zgodziła się nas jednak przyjąć, ale pod warunkiem, że egzaminy ze wszystkich przedmiotów będziemy zdawały na lekcjach – przepytywane przez poszczególnych profesorów. Egzamin poszedł mi dobrze. Trochę kłopotów miałam tylko z niemieckim, gdyż jeden rok miałam wcześniej opuszczony. Gorzej było z Basią i Krysią Szpilówną. Zostały one przyjęte do trzeciej klasy gimnazjum warunkowo. W ciągu roku okazało się jednak, że mają duże braki, szczególnie z językami. Po prostu, nie dawały sobie rady. Nie udało im się nadrobić programu i zostały na drugi rok w tej samej klasie. Terenia miała dopiero 12 lat, ale ukończyła szóstą klasę i została przyjęta do pierwszej klasy gimnazjum bez egzaminu (ze świadectwem z Komarówki).

W gimnazjum żeńskim im. Emilii Plater

Do szkoły szłyśmy bardzo wystraszone, gdyż nie znałyśmy tam nikogo. Pogoda była słoneczna, więc zbiórka uczennic odbyła się na boisku – przed szkołą. Byłyśmy w swoich starych fartuszkach. Inne dziewczynki wystrojone były na galowo, w granatowe mundurki lub w granatowe plisowane spódniczki i białe bluzki. Zostałam przydzielona do klasy IV A. Rozglądałam się czy nie ma tam jakiejś koleżanki z „Handlówki", ale nie znalazłam. Obok mnie stanęła dziewczynka, która także przyszła po raz pierwszy do tej szkoły.

Od razu zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać. Janka Korzeniewska, bo o niej tu mowa, okazała się repatriantką zza Buga; wróciła z rodziną z Syberii. Usiadłyśmy w jedynej wolnej ławce, ostatniej z trzeciego rzędu. Bliższe ławki zajęły dawniejsze uczennice. Najbliżej tablicy siedziały wystrojone, wygadane dziewczynki, znane profesorom jeszcze z tajnych kompletów w okresie okupacji. W dalszych ławkach były biedniej ubrane, no i dziewczynki ze wsi.

Aniela Walewska jako gimnazjalistka. Fot. 1917 r.

Języka polskiego uczyła nas dyrektorka prof. Aniela Walewska. Znałam ją od dawna, poprzez moich rodziców. Mój Ojciec, gdy chodził do gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego, mieszkał na stancji u jej rodziców. Zaprzyjaźnił się z nią, to i została nawet chrzestną matką mojej siostry Tereni. Z opowiadań Ojca pamiętam, że Niuta (Aniela) uchodziła za najładniejszą pensjonarkę (mamy jej zdjęcie z 1917 r.). Po śmierci mego Ojca nie utrzymywałyśmy już z nią bliższych kontaktów. Jako Dyrektorka była zawsze nienagannie ubrana, dostojna, poważna, pogodna, ale jednocześnie surowa. Była religijna i nie kryła tego; widywało się ją często w kościele. Chodziły wieści, że w młodości zaprzyjaźniona była z chłopakiem, który z powodu jakiejś tragedii rodzinnej wstąpił do zakonu paulinów. Aniela już nie wyszła za mąż. Podobało się mi jej podejście do młodzieży. Na wypracowania domowe dawała nam bardzo ciekawe życiowe tematy. Miałam u niej dobre stopnie. W naszej klasie było wiele dziewczynek piszących lekko i bardzo ciekawie. Poszły one po maturze na polonistykę lub dziennikarstwo.

W gimnazjum znał mnie także prof. Tajchert – jeszcze z „Handlówki". Teraz uczył nas chemii i fizyki; zawsze miałam u niego dobre stopnie. Znałam jego sposób nauczania, lubiłam te lekcje. Był spokojny, pogodny, skrupulatny i wymagający. Znała mnie także nauczycielka biologii prof. Filipczuk („Czerwonka"). Miała rude włosy i była bardzo zmienna w postępowaniu. Czasami słodziutkim głosikiem zwracała się do zaprzyjaźnionych z nią uczennic, a innym razem, grubym głosem wzywała do tablicy jakąś uczennicę, przyglądała się jej uważnie i czasami karciła za niestosowne ubranie lub uczesanie. No i zadawała jej pytania z materiału kilka lekcji wstecz. Zawsze wywoływała mnie do tablicy, bo siedziałam w ostatniej ławce. Czasami poruszała sprawę mojej siostry, która miała u niej jakieś marne stopnie. Naszą wychowawczynią była historyczka prof. Kowalska („Lula") – wysoka, szczupła,

spokojna, zrównoważona, bardzo przyjaźnie usposobiona do wszystkich uczennic. Mówiła spokojnym głosem, z przyjemnością się ją słuchało. Bardzo lubiłam jej lekcje wychowawcze; można było porozmawiać z nią na różne tematy. Była osobą samotną, ale wiedziałyśmy, że jest zaprzyjaźniona z prof. Maczaraszwilim, też historykiem, który uczył w innych klasach. Od łaciny

Chór szkolny i kościelny – prowadzony przez
prof. W. Światłowskiego

była malutka, szczuplutka, bardzo miła, mówiąca cichym głosem prof. J. Miłoszyńska („Cipcia"). Lubiły ją wszystkie uczennice. Łacinę zawsze lubiłam, ze względu na bardzo mądre stare przysłowia. Niewielka matematyczka, rudawa prof. Staśkiewicz („Pluskwa"), nie należała do miłych; była niespokojna, nerwowa. Zawsze lubiłam matematykę, to i nie miałam z nią trudności. Lubiłam rozwiązywać zadania, jednak nie odpowiadało mi prowadzenie przez nią lekcji, stąd denerwowałam się przy tablicy. Niemieckiego uczyła nas starsza pani – spokojna, miła, opanowana, w bardzo przyjemny sposób prowadząca lekcje. Musiałam bardzo się przykładać, gdyż jeden rok miałam opuszczony. Trzeba było nadrabiać zaległości. Przy pierwszym z nią zetknięciu powiedziała mi na co muszę zwrócić szczególną uwagę, to i jakoś na koniec roku wybrnęłam. Gimnastykę prowadziła prof. Jucewiczowa – energiczna, wesoła, bardzo ją lubiłyśmy. Sala gimnastyczna mieściła się w baraku, po drugiej stronie szkolnego boiska, przy Szkole Powszechnej nr 1. W tej sali odbywały się również wszystkie szkolne zabawy. Nie byłam sprawna z ćwiczeń gimnastycznych, gdyż wcześniej nie uprawiałam sportu, m. in. z powodu gruźlicy. Lubiłam za to uczestniczyć w tańcach ludowych. Profesorka zawsze na zakończenie roku przygotowywała występy zespołów z różnych regionów.

Lekcje śpiewu miał z nami prof. W. Światłowski. Jednocześnie grał on na organach w kościele pw. św. Antoniego i prowadził chór mieszany, złożony z dziewcząt i chłopców z naszego i męskiego gimnazjum. Moja młodsza siostra Basia od razu włączyła się do chóru szkolnego.

Występował on nie tylko w każdą niedzielę, na mszy dla młodzieży, ale i na różnych uroczystościach szkolnych i lokalnych. Lekcje religii prowadził ks. Edmund Barbasiewicz – wysoki, dostojny, spokojny, zawsze uśmiechnięty. Jego jasne, niebieskie oczy, na wszystkich patrzyły życzliwie. Kazania miał krótkie, treściwe, łatwo dające się zrozumieć i zapamiętać. Przychodził na nasze zabawy; stał z wychowawcami i obserwował nas. Na lekcjach religii niejednokrotnie komentował nasze zabawy. Bardzo dbał o dobre zachowanie dziewcząt, uczył nas szacunku do samych siebie, podsuwał wartościowe książki do czytania, interesował się naszymi sprawami klasowymi. Znał każdą uczennicę i starał się z nami rozmawiać na przerwach. Zyskiwał tym sobie przychylność. Pod wpływem tych rozmów starałyśmy się być dobre i uczciwe. W innych klasach religii uczył ks. Dadej. Był wesoły, po koleżeńsku traktował wszystkie dziewczynki. Był bardzo lubiany.

Trudno mi było przyzwyczaić się do żeńskiej klasy, do tego tak licznej (po małej klasie w Komarówce). Dziewczęta były bardzo hałaśliwe i ruchliwe, podczas przerw dużo się śmiały, robiły wokół siebie wiele szumu. Nasza klasa miała dobrą opinię, wiele było w niej dziewczynek wyróżniających się z różnych przedmiotów. Udzielały się też społecznie, należały do harcerstwa oraz do różnych kółek zainteresowań. Ja jednak nie miałam czasu na zajęcia pozalekcyjne. Musiałam pomagać Mamusi w pracach domowych, w ogrodzie, szyłam sukienki – sobie i swoim siostrom, przerabiałam ubrania z darów UNRA, robiłam całej rodzinie letnie buty (byłyśmy w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej). Udało mi się załatwić korepetycje z matematyki dla uczennic z młodszych klas, to i chodziłam do nich popołudniami.

Do szkoły miałyśmy dość daleko – szłyśmy pół godziny. Gimnazjum im. E. Plater przy ul. Narutowicza mieściło się w starym budynku przyklasztornym, przylegającym do kościoła św. Antoniego (dawny kościół garnizonowy). Z boiska szkolnego można było wejść na cmentarz przykościelny przez furtkę w murze do kościoła (furtka ta kilka lat później została zamurowana). Codziennie rano wstępowałyśmy do kościoła na krótki pacierz. Na piętrze klasztoru mieszkał ks. E. Barbasiewicz, opiekun kościoła. Każdej niedzieli młodzież gimnazjalna szła czwórkami – w strojach galowych – na mszę św. do kościoła (na godz. 9). Podczas mszy śpiewał chór szkolny, czasami grywał kwartet, kierowany przez siedzącego przy organach prof. Światłowskiego. Podczas większych uroczystości brała udział orkiestra wojskowa oraz chór od św. Anny (kościół garnizonowy należał do parafii św. Anny). W 1946 r. młodzież szkolna chodziła jeszcze ze sztandarami na 3. Maja. Później władze państwowe już na to nie pozwoliły.

Sprawy materialne

Bardzo trudne były te pierwsze dni w bialskiej szkole. Nie miałyśmy odpowiednich ubrań, jakie wymagane były w gimnazjum. Trzeba było więc nosić pod fartuszkiem nawet ciemne sukienki. W chłodne dni nosiłam granatowy płaszczyk, koniecznie z tarczą szkolną na rękawie, granatowy beret, a na uroczyste występy zakładałam granatową plisowaną spódniczkę i białą bluzkę. Dopiero po dłuższym czasie udało się Mamusi zdobyć z darów UNRA

Basia (z lewej) z koleżanką w szkole

jakieś ciemne spódniczki (z wojskowych zapasów), przefarbowane na czarno swetry, no i jakiś biały materiał na bluzki. Dostałyśmy w prezencie używaną plisowaną granatową spódniczkę, którą nosiłyśmy z Basią na zmianę – na zabawy, czy uroczystości klasowe. Ale nie tylko ja byłam źle ubrana. Moja koleżanka z ławki, Janka-repatriantka, też nie miała w co się ubrać. Nie chciałam też chodzić na zabawy, bo nie miałam odpowiednich pantofli, ani pończoch. Dopiero na wiosnę kupiła nam Mamusia na rynku buty oraz trochę ubrań – z „szabru", z zachodu.

Pod koniec roku szkolnego w czasie obowiązkowych badań lekarka stwierdziła u mnie zmiany w płucach i skierowała na prześwietlenie. Okazało się, że mam gruźliczy naciek w prawym szczycie płuca. Powinnam się dobrze odżywiać, nie przemęczać, nie przebywać na słońcu – taki był jej werdykt. Mamusia chciała mnie wysłać do jakichś kuzynów, czy zaprzyjaźnionej rodziny, której się dobrze powodzi. Na szczęście dostałam list od swojej koleżanki Danusi Leder, której rodzina była wysiedlona podczas wojny z okolic Łodzi w nasze strony, a teraz powróciła na swoje gospodarstwo. Dobrze im

się teraz powodziło, bo gospodarstwo mieli duże, do tego dobrze prowadzone. Pojechałam tam na całe lato. Mamusia Danusi bardzo o nas dbała, bo i Danusia po powrocie z Łodzi (z gimnazjum) też była wycieńczona i niedożywiona (mieszkała na stancji). Nic nie musiałyśmy robić, tylko jeść, odpoczywać, chodzić na spacery, spotykać się z młodzieżą. Poza tym, oprócz dobrego odżywiania mamusia Danusi zadbała również o moje ubrania. Gdy krawcowa szyła dla Danusi jakąś sukienkę, czy bluzkę, to i dla mnie taką samą sprawiała. Traktowała mnie jak swoją drugą córkę. Do bogatej gospodarskiej dziewczyny przyjeżdżali chłopcy z okolicy, tak więc lato spędzałyśmy wesoło. Do dzisiaj jesteśmy zaprzyjaźnione i dzwonimy od czasu do czasu do siebie.

Wielka radość – mamy normalne mieszkanie

Od stycznia wyprowadzili się z dolnego mieszkania lokatorzy, mogłyśmy więc zająć cale lokum obok naszego pokoju i opuścić pokój na górze. Miałyśmy już kuchnię i łazienkę, no i można było się jakoś umeblować w tych trzech pokojach. W mieszkaniu brak było szyby w kuchni (w oberlufcie), więc zatkałyśmy go poduszką ze słomy. W dużym pokoju w jednym z okien brak było podwójnych szyb, więc zasłoniłyśmy je kilimem. W pokoju stał tapczan, to znaczy materac z łóżka, położony na pustakach. Jakieś łóżka poniemieckie, znalezione na strychu, stanęły w pozostałych pokojach. Mamusia miała swoje duże łóżko z Walinny. Kredens pokojowy stanął w kuchni, a szafa ubraniowa u Mamusi w pokoju. Ściany w mieszkaniu były bardzo brudne, ale odmalowałyśmy je dopiero latem. Na frontowej ścianie domu znajdowały się jeszcze nie zmyte przez deszcz napisy „Victoria" i włoskie „Piazza...". Były to pozostałości po włoskich lotnikach, którzy przez kilka miesięcy 1940 r. mieli w naszym domu urządzone kasyno. Sąsiedzi przez dłuższy czas nazywali nasz dom „Willa Wiktoria".

Głodno i chłodno przeżyłyśmy tę pierwszą zimę. Trochę nas ratowało to, że Krysia Szpilówna mieszkała u nas na stancji. Jej rodzice płacili za jej stancję – wraz z wyżywieniem – mąką, słoniną oraz ziemniakami. Czasami przywozili jakąś tańszą żywność, abyśmy mogły jakoś przetrwać. Najgorzej dawało się we znaki zimno. Wieczorami, odrabiając lekcje, siedziałyśmy blisko pieca. Co jakiś czas rozgrzewałyśmy się, m.in. tańcząc w kuchni. Wisiał tam „kołchoźnik", taki głośnik, podłączony do miejskiego radia, to i mogłyśmy się przy nim bawić. Pieniądze na głośnik dała nam ciocia Fela. Była ona winna Mamusi jakieś pieniądze, to i je stopniowo oddawała. Czasami dostawałyśmy od niej jakieś ubranie. Odnalazł się daleki kuzyn Mamusi, wujek Franciszek Nikoniuk. Przyjechał z Wilna wraz z żoną Wierą. Nie mieli dzieci, więc ciocia Wiera zaprosiła nas na Wielkanoc, a później na inne święta. Mogłyśmy wówczas zjeść coś smacznego. Wujek handlował skórą na rynku

w Białej Podlaskiej, jeździł też na różne jarmarki po okolicy.

Na wiosnę ciocia Hawrylukowa (z Komarówki) przywoziła nam mąkę i kaszę mannę. Przyjeżdżała do Białej, bo jej syn Felek siedział w bialskim więzieniu. Był on kierownikiem młyna. Kupił kiedyś od jakiegoś handlarza pasy do młyna, okazało się jednak, że były one kradzione (innych niż kradzione, lub z szabru, wówczas nie było). Felek został skazany na rok więzienia. Odwiedzałyśmy go w więzieniu, zanosiłyśmy paczki. Ciocia zostawiała pieniądze, żebyśmy mogły mu kupić co będzie potrzebował. Felek często pracował przy robotach porządkowych w mieście. Wówczas podchodziłam do niego i pytałam co mu kupić. Po chwili przynosiłam mu papierosy, cukierki, czy jakieś artykuły kosmetyczne.

Z czasem było nam trochę lepiej, bo nasz budżet domowy ratowały paczki UNR-owskie. Były w nich puszki z konserwą rybną, koniną, kaszanką, sery, margaryna, tłuszcze roślinne (nazywałyśmy to „małpi smalec"). Używałyśmy ten biały tłuszcz do smarowania chleba, nie był jednak zbyt smaczny. Lepsza była margaryna. Mamusia przynosiła też przydziały ze szkoły: mąkę, mleko w proszku, suszone warzywa, ryż, zupy w proszku. Najlepsze były produkty porcjowane w małych paczkach. Były tam malutkie konserwy z szynką, serami, a nawet cukierki.

Mamusia dostawała w szkole (z przydziału) również używane ubrania, pochodzące z USA. Były to różne palta, które przeważnie przerabiano na kurtki. Dostałam czarny fartuszek, sukienkę zapinaną na 30 guziczków – trochę wyglądała jak sutanna. Spódniczki i swetry były z „demobilu" – zielone, lub przefarbowane na ciemnozielono i czarno. Basi przysyłała jakieś ubrania jej matka chrzestna, której dość dobrze się powodziło (miała sklep w Siedlcach). Podsyłała sweterki po swoich córkach, bieliznę i spódniczki.

Mamusia robiła wiele wysiłków, ażeby nas jakoś wykarmić. Rano gotowała kaszę mannę, okraszoną skwarkami lub margaryną. Do szkoły nie brałyśmy drugiego śniadania. Wracając kupowałyśmy w piekarni u Konwickiego dwukilogramowy bochenek chleba. Był gorący i pachnący. Z trudem udawało się nam donieść go całego do domu. Zawsze trochę brakowało. Najbardziej głodna była zazwyczaj Terenia. Bardzo lubiła skórkę od chleba (być może był to brak witaminy B). Nie gniewałyśmy się na nią, gdy obrywała skórki, a nam zostawiała środek i spód. Do chleba kupowałyśmy najczęściej „szary smalec". Był to tłuszcz, który ociekał wcześniej z wędzonych szynek. Zostawiała go nam nasza znajoma p. Maksymiukowa, żona rzeźnika. Smalec ten pachniał szynką, był smaczny i tani.

Mamusia dorabiała do pensji prowadząc popołudniami świetlicę. Dla starszej młodzieży organizowała też kursy tańców ludowych. Pomagałam jej w tych zajęciach. Przychodziłam do świetlicy wieczorami i tańczyłam w pierwszej parze, pokazując właściwe kroki i figury. Wszystkie tańce ludowe znałam od najmłodszych lat, więc mogłam Mamusi pomagać. A przy tym bardzo

dobrze się bawiłam, bo i lubiłam tańczyć. Czasami braliśmy na stancję jakichś uczniów, żeby na tym trochę zarobić. Dochodziło wówczas dodatkowe sprzątanie i gotowanie. Ale długo nie dało się tego ciągnąć. Stale z nami mieszkała tylko Krysia Szpil.

Repatrianci

Zimą 1946 r. zaczęli przyjeżdżać do Białej Podlaskiej repatrianci ze Związku Radzieckiego. Docierali tutaj w dużych grupach. Młodzież gimnazjalna chodziła po lekcjach do Biura Repatriacyjnego, mieszczącego się przy ulicy Kolejowej, na dyżury. Uczniowie pomagali w wypełnianiu dokumentów, udzielali informacji, odprowadzali repatriantów na noclegi. Powracali w tym czasie Akowcy z obozu w Riazaniu oraz z innych miejscowości. Wracały również całe rodziny Polaków, wywiezionych wcześniej na Syberię. Zdarzali się też żołnierze włoscy, zwolnieni z sowieckiej niewoli. Często braliśmy repatriantów, szczególnie żołnierzy, do naszego mieszkania na nocleg. W jednym z pokoi rozłożone były sienniki, na których mogli się przespać. Dzieliłyśmy się z nimi swoim jedzeniem, to co miałyśmy w domu. Żołnierze wracali wychudzeni, brudni, ale radośni, że wreszcie są w Ojczyźnie. Wielką radość sprawili całemu miastu powracający wileńscy AK-owcy, wywiezieni w 1944 r. do obozu w Riazaniu. Z pomocą miejscowych patriotów zorganizowali oni piękny koncert patriotyczny, ze skeczami oraz żołnierskimi i partyzanckimi piosenkami. Żołnierze ci ubrani byli w polskie mundury. Serdecznie ich witano i zapraszano do wielu domów. Zatrzymali się w Białej na kilka dni, zanim odjechali gdzieś na Ziemie Odzyskane.

Nie natknęłam się na partyzantów z naszej okolicy. Rozglądałam się w Biurze Repatriacyjnym, wypytywałam, bo wiedziałam, że także byli gdzieś wywiezieni. Powracających z obozów żołnierzy władze radzieckie trzymały przez kilka dni w barakach wojskowych w Brześciu. Trochę ich tam odżywili, poddali dezynfekcji od insektów i dopiero wtedy wpuścili do Polski.

Moja przyjaciółka z „Handlówki", Krysia Cieślikówna, poznała na noclegu u siebie ładnego chłopaka – repatrianta, który się w niej zakochał. Po osiedleniu się w Jeleniej Górze przyjechał po nią i koniecznie chciał wziąć ślub. Krysia chciała przynajmniej skończyć czwartą klasę gimnazjum handlowego, żeby mieć świadectwo małej matury. On jednak nie chciał czekać. Mama Krysi bardzo go polubiła, chciała też, aby Krysia miała go za opiekuna, a także lepsze warunki życia.

Jan Brauer i Leonard Dunicz – dowódcy AK i WiN

Wojna już się skończyła, ale w Białej i w okolicy ciągle nie było spokojnie, słyszało się m.in. o jakichś aresztowaniach byłych AK-owców.

Jeszcze w latach okupacji do naszego domu dostali przydział mieszkaniowy Brauerowie. Mieli oni 4-letniego synka Mareczka. 12 marca 1946 r. o godz. 5.00 rano przyszli do nich tajniacy. Stukali najpierw do naszego okna, aby im otworzyć drzwi wejściowe do domu. Mamusia zwlekała; najpierw zawiadomiła p. Brauerową, która mieszkała obok nas. Wokół domu stali żołnierze. Gdy tylko tajniacy do nas weszli, to zaczęli wypytywać o nazwiska lokatorów. Kiedy dowiedzieli się gdzie mieszka p. Brauer, to zastukali do nich. Na szczęście p. Brauera nie było w domu. Prawdopodobnie spodziewał się, że może być aresztowany; pewnie ktoś go ostrzegł. Tajniacy siedzieli u nas cały dzień. Młodzieży pozwolili pójść do szkoły, a Mamusię zatrzymali w domu. W drodze powrotnej szłyśmy koło torów, żeby ostrzec p. Brauera, gdyby wracał z pracy do domu. Także wieczorem chodziłyśmy koło torów, ale p. Brauer nie wrócił. Po jakimś czasie pani Brauerowa wyjechała z synkiem do rodziny w Lublinie. Co się z nimi dalej działo, nie wiedziałam. Mamusia nam nie mówiła. Dowiedziałam się jednak, że Jan Brauer były członkiem AK, należał też do WiN-u. Był jednym z dowódców w Inspektoracie Biała Podlaska, podobnie jak Leonard Dunicz.

Jurek Sroka, mój kolega z „Handlówki", po wielu latach powiedział mi, że przychodził do Jana Brauera, aby z jego piwnicy zabrać skrzynkę zawierającą dokumenty AK. Najprawdopodobniej zakopana była pod betonową podłogą naszej piwnicy, gdyż beton został w tym miejscu naruszony, a na wiosnę pojawiła się tam woda.

Pod koniec 1946 r. dowiedziałyśmy się, że Leonard Dunicz, żołnierz AK, nasz dawny lokator i administrator domu, został aresztowany. Podczas Bożego Narodzenia 1946 r., gdy był u żony w Gdańsku, ich dom otoczyli funkcjonariusze UB. Podczas ucieczki postrzelony został w obie nogi, a następnie uwięziony w Gdańsku. Po jakimś czasie przywieziono go do Białej Podlaskiej – na badania w UB. Aresztowano również rodziców jego żony, Iwanickich z Białej Podlaskiej,

Leonard Dunicz był w latach 1944–1946 w ROAK i WiN. Najpierw był zastępcą Komendanta, a od lutego 1946 r. Komendantem obwodu WiN Biała Podlaska, pod pseudonimem „Świt", „Bartosz", „Mietek". Po ogłoszeniu amnestii Leonard Dunicz został zwolniony (26 kwietnia 1947 r.). Miał później duże trudności ze znalezieniem pracy. Mieszkał w Poznaniu. W tym czasie nie mieliśmy z nim już żadnego kontaktu. Zmarł w 1993 r., w wieku 82 lat. Dopiero wtedy ukazała się w bialskiej gazecie krótka notatka o jego życiu i działalności.

WiN w naszym rejonie

W latach 1945/46 śledziłyśmy działania partyzantów w okolicy, gdyż znajdowali się pośród nich również nasi znajomi. W nocy 31 grudnia 1946 r.

partyzanci WiN-u zamierzali odbić aresztowanych kolegów, zaatakowali więc posterunek UB w Radzyniu Podlaskim. Ulokowali się na strychu, naprzeciw budynku UB i stamtąd strzelali. Pod drzwiami podłożone były miny, więc kilku UB-owców podczas ucieczki zginęło. Partyzanci wycofali się, zabierając ze sobą uwięzionych kolegów. Wkrótce zjawiło się wojsko i od razu udało się w pościg za partyzantami. Tymczasem partyzanci urządzili w lesie zasadzkę. Zniszczyli wówczas ich samochody. Dużo się słyszało o akcjach oddziału, którego dowódcą był „Jastrząb". 10 stycznia 1947 r. Jurek Sroka zjawił się u Zosi Kratówny. Był poszukiwany przez UB, więc się ukrywał. Przyniósł wówczas afisze, wzywające ludzi by nie głosowali. Prosił, abyśmy je rozwiesiły na płotach przy ulicy Witoroskiej i na Kołychawie.

Naszego profesora matematyki Swarcewicza aresztowano 17 stycznia 1947 r., gdyż był członkiem PSL-u oraz kandydował do Sejmu. Po wyborach wypuścili go, ale uczyć w naszym gimnazjum nie pozwolili. W tym czasie wielu PSL-owców z Komarówki i Kolembrod zostało aresztowanych.

Kłopoty z domem

Mieszkanie we własnym domu dawało nam pewien komfort psychiczny. Byłyśmy na swoim, mogłyśmy więc w swoim mieszkaniu robić wszystko, bez pytania gospodyni o zgodę. Jednak w tamtych czasach, gdy rządzili komuniści, przeciwni posiadaniu swojej własności, lepiej było nie mieć nic swojego. Wtedy było się pod opieką państwa i partii. Mamusia była nie raz pomijana w przydziałach zapomogi ze Związku Nauczycielskiego, jak również przy rozdawaniu paczek UNR-owskich. Nazywali ją „Kamieniczniczką", nie wnikając w to, że z „kamienicy" tej nie miała żadnych dochodów. Z tego tytułu były raczej obciążenia, gdyż dom znajdował się pod zarządem administracji miejskiej (pod kwaterunkiem). Bliskie koleżanki Mamusi wiedziały, że jest wdową, że ma na utrzymaniu uczące się w gimnazjum trzy córki, które musi nakarmić i ubrać. Mamusia jednak nie lubiła się skarżyć na swój los, nie ubiegała się też zbyt usilnie o pomoc. Starała się dorabiać lekcjami oraz braniem uczniów na stancję. Dewizą Mamusi było: *Nie skarż się, bo ludzie z skargi twego dźwięku Cieszą się jak sępy z konających jęku.*

Właścicielom domów podległych pod kwaterunek Urząd Miasta stawiał dość wysokie wymagania. Chodziło o to, aby lokatorom źle się nie działo. Mamusia musiała dbać, by dach nie przeciekał, aby ubikacje i śmietnik były murowane, płot się nie chylił, brama wjazdowa była w porządku, a i komórki na węgiel w dobrym stanie. Tymczasem lokatorzy płacili symboliczne komorne, wystarczające zaledwie na opłacenie podatków oraz wywóz śmieci. Trzeba było wykonywać wszelkie polecenia Urzędu Miasta, pokrywać koszty z własnej kieszeni, by nie otrzymać finansowej kary. Mamusia musiała usunąć sedesy z łazienek lokatorów, bo nie chcieli płacić za wywózkę nieczysto-

ści z szamba. Po usunięciu sedesów niektórzy lokatorzy (mieszkający na piętrze) wylewali nieczystości przez okna. Wyjątkowo często zdarzało się to zimą. Na wiosnę, gdy śnieg stajał, musiałyśmy te nieczystości uprzątać.

Miałyśmy też kłopot z racji tego, że powierzchnia naszego placu była trochę większa niż 1 ha. Podciągnięto więc go pod działkę rolniczą. W tej sytuacji trzeba było dostarczać do skupu płodów rolnych obowiązkowe dostawy: zboża i żywca. Mamusia chodziła więc na rynek i kupowała od jakiegoś rolnika zboże i rąbankę, po czym prosiła o zawiezienie tych produktów do punktu skupu.

Nieprzyjemną sprawę miała Mamusia ze spłatą przedwojennego długu, zaciągniętego na budowę domu w BGK. W czasie okupacji można było płacić raty zaciągnięte przed wojną. Po wojnie można było spłacić resztę długu jednorazowo, co było korzystne. Robili tak inni dłużnicy, o czym Mamusię poinformowali. Pożyczyła więc od kuzynów pieniądze, około trzy tys. zł. Po jakimś czasie dostała za to „domiar", wysoki podatek „od wzbogacenia się w czasie wojny". Nie było więc innego wyjścia, trzeba było sprzedać kawałek placu. Nie łatwo było znaleźć kupca, aby dostać względnie dobrą cenę. W końcu umowa została spisana, zadatek wzięty, a tu przez nasz plac wytyczono główną drogę do Lublina. Budowało ją jakieś przedsiębiorstwo wojskowe z Lublina. Za zajęte za torami tereny dano właścicielom odszkodowania, a przed torami, był tylko nasz plac. Bez uzgodnienia z nami przyjechali ludzie i maszyny, no i zajęto naszą własność. Nie tylko odcięli kawałek placu na drogę, ale jeszcze kawałek nieużytku poza drogą (klin), z dużym dębem. Mamusia starała się otrzymać za to jakieś odszkodowanie, chociaż w niewielkiej kwocie, nie mogła się jednak z nikim dogadać. Podobno przedsiębiorstwo drogowe zrobiło to bezprawnie, bo nie powinni byli skracać drogi przez nasz plac. Mamusia jeszcze przez kilka lat płaciła podatek za zajęty przez nich kawałek placu

Po sprzedaży ziemi Mamusia spłaciła prywatne długi, zaciągnięte na budowę domu jeszcze przed wojną: Gierejowej, Odrzygoździom (murarzom), dostawcy cegieł oraz gospodarzom z Walinny. Jeszcze jeden z gospodarzy upominał się o oddanie mu długu, bo dowiedział się, że „Danilukowa oddaje pieniądze". Mamusia nie miała jednak jego nazwiska w notatkach Tatusia, ani nie dysponował on jakimkolwiek wekslem. Chciał więc ją wykorzystać. Po stanowczej odprawie nie zgłosił się więcej.

Takie oto kłopoty miała Mamusia – z domem i ziemią. I z długami! Ja zaś, jako najstarsza córka, dzieliłam z Mamusią wszystkie kłopoty. Pomaga-łam jej również załatwiać różne sprawy. Mamusia ciągle chorowała na serce, na wątrobę i na astmę. Miała duże trudności z chodzeniem.

W liceum matematyczno-fizycznym im. J.I. Kraszewskiego

Po wakacjach postanowiłam dostać się do liceum matematyczno-fizycznego, które było przy męskim gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego. Najbardziej żal mi było lekcji języka polskiego z prof. A. Walewską. Miałam jednak więcej zdolności do przedmiotów ścisłych, a trudności z językami obcymi. Czekała mnie znowu zmiana szkoły, profesorów i koleżanek. Ponieważ ciągle zmieniałam szkoły, za bardzo się tym nie przejmowałam.

Klasa liceum mat-fiz.– z prof. H. Szudejko i F. Zdanowskim

Dyrektorem gimnazjum i liceum J.I. Kraszewskiego był prof. S. Damrosz. Był to wysoki, przystojny, elegancki, starszy mężczyzna. Był surowy, to i budził respekt wśród uczniów. Był ateistą, ale tolerancyjnym. Zgadzał się z ks. E. Barbasiewiczem co do jego metod wychowawczych, stosowanych podczas religii oraz w harcerstwie. W każdą niedzielę zebrana przed gimnazjum młodzież maszerowała czwórkami do kościoła św. Antoniego.

Dyrektor prowadził wykłady dla obu klas licealnych z zakresu „Wiedzy o społeczeństwie". Słuchaliśmy go z wielkim zainteresowaniem, z uwagą, gdyż po wypowiedzeniu jakiegoś obcego słowa pytał przypadkowo wskazanego ucznia, czy wie co to znaczy. Trzeba było natychmiast podnosić rękę, jeżeli się nie wiedziało. Podobnie było z datami historycznymi. Musieliśmy nauczyć się najważniejszych dat oraz użytych wcześniej obcych słów. Pod koniec pierwszej klasy liceum dowiedzieliśmy się, że dyr. Damrosz opuszcza naszą szkołę, gdyż został przeniesiony do Warszawy. Byliśmy bardzo zmartwieni. Podczas pożegnania wyrażaliśmy wielki żal. Nastały takie czasy, że stanowiska kierownicze otrzymywali ludzie partyjni. W niedługim czasie

także w gimnazjum żeńskim nastąpiły zmiany; dyr. A. Walewska musiała pożegnać się ze swoją szkołą (także w męskim gimnazjum uczyła – na „wieczorówce").

Naszym nowym dyrektorem został prof. Derejczyk. Miał młodą żonę, która uczyła języka angielskiego. Dyrektor nie miał z nami żadnych zajęć. Prof. Derejczykowa była ładną, elegancką kobietą (miała małego synka), to i bardzo się chłopcom podobała. W wielkiej przyjaźni pod koniec roku szkolnego urządzała dla wybranych uczniów spotkania językowe – u siebie w domu lub wyjeżdżała z nimi na wycieczki.

Lekcje języka polskiego miał z nami prof. S. Komęza, starszy, schorowany już człowiek. Miał do szkoły dość daleko; mieszkał z liczną rodziną w naszym domu. Jego syn, inż. Zbigniew Komęza, także uczył w gimnazjum. Prof. S. Komęzy lekcje polskiego nie były jednak ciekawe. W ciągu tych dwu lat trochę cofnęłam się w pisaniu, bowiem niewiele pisaliśmy wypracowań, a do tego profesor często chorował. Niewiele się nauczyliśmy.

Matematyki uczył prof. Swarcewicz, ale tylko przez pierwszy rok. Przed wyborami został aresztowany i nie powrócił już do nas. Bardzo go lubiliśmy – był pogodny, spokojny, nie wprowadzał napięcia, czy zdenerwowania, jak to było później, gdy zastąpiła go prof. Staśkiewicz. Wielu uczniów miało u niej złe stopnie i nie zostało dopuszczonych do matury. Niektórzy chodzili na korepetycje z matematyki, żeby tylko jakoś zdać.

Języka niemieckiego uczyła nas prof. Henryka Szudejkowa. Była też naszą wychowawczynią. Uważaliśmy ją za dzielną, zapracowaną kobietę. Miała bardzo ciężkie warunki domowe, chorą siostrę oraz dwójkę dzieci, które jeszcze przed pracą woziła wózeczkiem do żłobka, no i męża, który studiował prawo w Lublinie. Bardzo się starała, aby zapoznać nas z literaturą niemiecką, gdyż taki był program nauczania. Lubiła wiersze niemieckich poetów. W tamtych czasach niewiele było konwersacji w języku niemieckim, tak więc uczyliśmy się głównie tłumaczenia treści, natomiast nie potrafiliśmy mówić. Przy takiej gromadzie uczniów, bo lekcje języków mieliśmy wraz z klasą humanistyczną, niewiele było możliwości do swobodnej rozmowy. Tylko Czesio Nowicki, znany później telewizyjny „Wicherek" od pogody, swobodnie rozmawiał z panią profesor. Starał się poprawiać jej humor.

Lekcje z fizyki i chemii miał z nami prof. Franciszek Zdanowski, nazywany „Franio". Był to wysoki, szczupły, spokojny, dokładny mężczyzna, wręcz pedant. Mówił cicho, z rozwagą, często się uśmiechał, niekiedy bywał dowcipny. Jak prosił o uchylenie lufcika, to zwykle zaznaczał: *Spróbujmy uchylić lufcik na pięć siódmych.* Lubiliśmy go, bo lekcje prowadził ciekawie. Mieszkał z rodziną (żoną i dwoma synami) w niedużym domku przy ulicy Sitnickiej. Profesor zawsze chodził starannie ubrany, w kapeluszu i z parasolem. Spotkaliśmy się z nim po przeszło 50 latach od matury, w czerwcu 2000 r. w Serpelicach, na zjeździe maturzystów z naszego rocznika. Siedzieliśmy

z nim przy ognisku i wspominali dawne szkolne czasy. Przywiózł ze sobą wydaną w Białej Podlaskiej w 1993 r. broszurkę p.t. „Myśli, przysłowia, aforyzmy". Wybrane one były przez samego profesora - autorów polskich i obcych, a także jakieś osobiste jego przemyślenia. Mądre myśli i pouczające aforyzmy zawarł w tej broszurze, wiele dowcipnych i śmiesznych. Lubię do niej zaglądać. Podczas zwiedzania Drohiczyna oglądaliśmy zegar słoneczny konstrukcji prof. Franciszka Zdanowskiego.

Religię mieliśmy z księdzem E. Barbasiewiczem. W Gimnazjum im. Kraszewskiego prowadził on z chłopcami harcerstwo, wyjeżdżał też z nimi latem na obozy. W naszej klasie było wielu harcerzy, którzy wyróżniali się swoim zachowaniem. Byli grzeczniejsi od innych, chętniejsi do pracy społecznej, lubili na przerwach śpiewać harcerskie piosenki. Ks. E. Barbasiewicz studiował w tym czasie filozofię, to i często rozmawialiśmy z nim na ten temat. Mieliśmy w szkole lekcje ze wstępu do filozofii, to i nas to interesowało. Wiele osób, jeszcze przez długi czas po maturze, było związanych z ks. E. Barbasiewiczem. Odwiedzali go podczas pobytu w Białej, a później w Siedlcach, gdy był rektorem Seminarium Duchownego. Wiele par narzeczeńskich przyjeżdżało do kościoła św. Antoniego, aby ich ulubiony ksiądz towarzyszył przy zaślubinach, udzielił im błogosławieństwa. Ja również ze swoim mężem, a potem z dziećmi, odwiedzałam księdza. Ostatni raz widzieliśmy się z nim kilka miesięcy przed jego śmiercią. Było to w Seminarium Duchownym w Siedlcach. Był bardzo pogodny, uśmiechnięty, mimo ciężkiej choroby. Pobłogosławił nas podczas pożegnania.

Gimnastykę z chłopcami prowadził prof. Ciejpa. Dziewczęta musiały chodzić na swoje lekcje do gimnazjum żeńskiego. Lekarzem szkolnym był dr Bazylczuk. Prowadził on także lekcje higieny oraz opiekował się uczniami. W budynku naszej szkoły znajdował się również gabinet dentystyczny, z którego oprócz chłopców korzystały także uczennice z „Platerki".

W liceum matematycznym czułam się lepiej. Nie siedziałam już w ostatniej ławce, bo dziewczęta siedziały tutaj w pierwszych ławkach. Nie byłam taka zagubiona i śmielej odpowiadałam na pytania profesorów. Przez te dwa lata tworzyły się różne pary, dziewcząt i chłopców z naszej klasy, albo z chłopakami z klasy humanistycznej. Kilka z nich utrzymało się do końca, to znaczy zakończyły się później małżeństwami. Wielu chłopaków miało swoje sympatie w „Platerce", to i biegali do nich na dużych przerwach. Zabawy mieliśmy zawsze wspólne, łącznie z dziewczętami z „Platerki". Urządzane były częściej u nich, ale czasami również u nas. Chodziłyśmy niekiedy z Mirką na zabawy urządzane przez ucząca się młodzież „Wieczorówki". Przerabiali oni dwie klasy w ciągu jednego roku. Była to młodzież starsza, z powodu wojny opóźniona w nauce. Wielu chłopców było wcześniej „w partyzantce". Dyrektor naszej szkoły raczej krzywo patrzył na nasz udział w tych zabawach. Kilka razy jednak odważyłyśmy się pójść.

Na początku roku szkolnego spotkałam tylko jedną koleżankę z poprzedniej klasy. Była to Mirka Goleniewska, z którą wcześniej nie miałam styczności, gdyż siedziała w pierwszej ławce, a ja w ostatniej. Byłyśmy jednak z jednej klasy, więc usiadłyśmy obok siebie. Było nas w klasie 8 dziewcząt i 32 chłopców. Była też równoległa klasa humanistyczna, z którą mieliśmy wspólne lekcje z języków obcych. Mirka uchodziła za najładniejszą dziewczynę liceum. Znana też była przez chłopców ze sztuki „Gałązka rozmarynu", w której grała „Sławę", a Romek Kłosowski „Pecha". Mirka była bardzo dobrą uczennicą, miała również dobre warunki domowe. Nie musiała w domu nic robić. Mama jej nie pracowała, a ojciec zarabiał na całą rodzinę (przed wojną miał kopalnię glinki). Mirka była bardzo wesoła, często się śmiała, towarzyska, lubiana przez wszystkich. Była też bardzo pewna siebie, bo wiedziała, że jej wiele ujdzie. Swoim rozbrajającym śmiechem i urodą zniewalała wszystkich. Ponieważ dużo chłopców wokół niej się kręciło, to i ja miałam towarzystwo. Chodziłyśmy razem na zabawy, dzięki niej miałam wielu znajomych chłopaków. Jej mama bardzo mnie lubiła, to i często u nich bywałam. Przed maturą Mirka często nocowała u mnie, bo mieliśmy większe mieszkanie. Razem uczyłyśmy się. Jej mama umiała szyć; gdy szyła coś dla Mirki, to taką sama kreację również dla mnie.

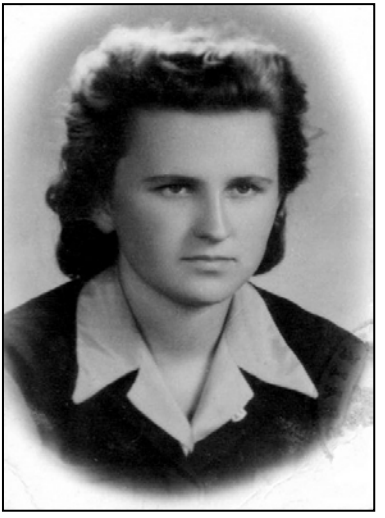

M. Goleniewska – przed maturą

W „Kraszewskim" wprowadzono dożywianie niezamożnych uczniów. Ja także zostałam do nich zaliczona, bo nigdy nie przynosiłam ze sobą drugiego śniadania. Dostawaliśmy dużą pajdę chleba z marmoladą i do tego kakao z mlekiem (były to dary z UNRA). Ponieważ moja najmłodsza siostra (Terenia) była zawsze głodna, bo jeszcze rosła, to przybiegała do mnie na dużej przerwie (z „Platerki"), abym podzieliła się z nią swoim śniadaniem.

W mojej klasie uczyły się Hanka i Danka – córki lekarzy, a także Jaśka – córka dyrektora banku. Były dobrze ubrane i zawsze trzymały się razem. Pozostałe dziewczęta, to dwie ze wsi i dwie miejscowe (niczym się nie wyróżniały). Byłam wtedy bardzo biednie ubrana; nosiłam rzeczy z darów UNRA lub sukienki po jakiejś cioci, własnoręcznie przerabiane. Chłopcy z miasta, niektórzy bardzo biedni, trzymali się razem. Nie przejmowali się jednak swoją sytuacją, nadrabiali humorem. Wielu było harcerzy, to i czasami chodzili w swoich organizacyjnych strojach. Chłopcy ze wsi byli skromniejsi, nieśmiali, jednak bardziej pracowici. Może dlatego potrafili w przyszłości

osiągać wysokie stanowiska, zdobywać stopnie profesorów akademickich. Mieliśmy bardzo skromnego kolegę Jurka Kalińskiego, zdolnego muzyka. Nie został on dopuszczony do matury, bo ciągle musiał z ojcem grywać na jakichś imprezach. Musieli jakoś utrzymać swoją rodzinę. Będąc na studiach spotkałam go później w Warszawie. Był na uczelni muzycznej, a przyjęty został bez matury.

***

Po maturze nasza klasa rozproszyła się po całej Polsce. Większość studiowała w Warszawie, Lublinie i Białymstoku, ale także w Gdańsku i we Wrocławiu. Kilka osób pozostało w Białej. Spotykałam się z nimi podczas letnich wakacji, m.in. na naszych mszach w kościele św. Antoniego.

Tomasz Demidowicz
(Biała Podlaska)

Tadeusz Derlukiewicz (1945 - 2014): rzecz o przyjacielu który kochał muzykę i śpiew

W sierpniowy słoneczny dzień 11.08.2014 r. w wieku 69 lat odszedł od nas Tadeusz Derlukiewicz – pedagog, "Leśniak", znany animator życia muzycznego i kultury śpiewaczej, reżyser i scenarzysta zespołów śpiewaczo–obrzędowych, mistrz skrzypiec, członek wielu kapel muzycznych, jakie powstawały na Południowym Podlasiu od lat 60. XX w. Był cząstką kultury muzycznej naszego regionu, niestrudzonym organizatorem, niekiedy aktorem, uczestnikiem kilkuset występów, ukazujących piękno i bogactwo kultury ludowej. Jako absolwent Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej, znanego od 1916 r. jako Zakład Kształcenia Nauczycieli, czuł się nauczycielem – wychowawcą młodzieży, a nade wszystko instruktorem gry na takich instrumentach muzycznych, jak skrzypce, flet, mandolina. Był założycielem oraz kierownikiem chórów i zespołów śpiewaczych. Kiedy brał do ręki skrzypce, stawał się natychmiast o kilkanaście lat młodszy i radośniejszy. Miało się wrażenie, że muzyka i śpiew unosiły Tadeusza, uskrzydlały, radowały jego duszę. Autor niniejszego szkicu – o "muzycznym" Tadeuszu Derlukiewiczu, z którym łączyła go ponad 35 letnia przyjaźń, często doświadczał radości spotkań z jego charakterystyczną grą na skrzypcach oraz wspólnymi towarzyskimi koncertami. Droga którą przebył do mistrzostwa nie była łatwa. Dochodził do niej etapami, czasami w aurze niesprzyjającej, zawsze jednakw przekonaniu, że tak trzeba. Warto więc czytelnikom, miłośnikom kultury Południowego Podlasia, przypomnieć tę drogę.

T. Derlukiewicz - jako nauczyciel Szkoły Podstawowej w Kozłach

Lata młodości i początki pracy

Urodził się 17.02.1945 r. w Łomazach, a właściwie na Kol. Łomazy, w rodzinie chłopskiej Tomasza i Franciszki z d. Derlukiewicz. Aby ukończyć Szkołę Podstawową – w osadzie Łomazy – musiał codziennie pokonywać pieszo trasę 4 km, tam i z po-

wrotem, z tornistrem na plecach. Jak wspominał, droga czasami się dłużyła, a czasami, zwłaszcza porą zimową, była bardzo trudna, niekiedy pokonywać trzeba ją było na saniach. Dość dużo czasu zajmowały mu zabawy w śnieżki, próby jazdy na niby-nartach, karmienie kuropatw, tropienie lisów. Od najmłodszych lat zdradzał zdolności do śpiewu, ale również plastyczne. Po ukończeniu podstawowej edukacji, co miało miejsce w czerwcu 1959 r., pod wpływem stryja Antoniego Derlukiewicza, prymusa Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Leśnej Podlaskiej, a ówczesnego kierownika Szkoły Podstawowej w Dubowie, zdecydował się na wybór zawodu nauczyciela. Pomyślnie zdał egzaminy wstępne, w tym z uzdolnień muzycznych i plastycznych, po czym podjął naukę w Liceum Pedagogicznym im. Stanisława Staszica w Leśnej Podlaskiej. Pięcioletni okres nauki pozwolił na dalszy rozwój talentów, w tym aktorskiego i muzycznego. Był członkiem szkolnego teatru, grał m.in. rolę Florka (w latach 1960-1962) w sztuce pt. „Droga do świtu" (w reżyserii Zofii Jędrych). Należał do szkolnego zespołu mandolinistów, a później orkiestry, uczestniczył w kilkunastu koncertach, jakie zespoły prezentowały mieszkańcom pow. Biała Podlaska.

T. Derlukiewicz był czynnym członkiem szkolnej drużyny harcerskiej, uczestnikiem biwaków, zjazdów harcerskich. Idei harcerskiej, trwale zaszczepionej w Liceum Pedagogicznym, pozostawał wierny przez długie lata swojej pracy pedagogicznej. Zgodnie z obowiązującym w tej szkole programem nauczył się również jazdy na nartach, łyżwach oraz gry w szachy. Pośród kolegów wyróżniał się grą na skrzypcach, lubił też gry w piłkę siatkową oraz piłkę ręczną.

Po zdaniu egzaminu dojrzałości i zdobyciu uprawnień do nauczania w szkołach podstawowych (czerwiec 1964 r.; XXXVIII matura), 1 września 1964 r. rozpoczął pracę w Szkole Podstawowej w Kozłach (gm. Łomazy). Jej kierownikiem był wówczas Marian Semeniuk. Pierwszą posadę nauczyciela pragnął otrzymać jak najbliżej domu rodzinnego, przypadek jednak zadecydował, że otrzymał ją we wsi „zabitej dechami", oddalonej od Łomaz 8 km, Prowadziła do niej piaszczysta, trudna do pokonania droga (pośród lasów). Nie załamany różnego typu przeszkodami, pełen energii, podjął się prowadzenia zajęć w klasach I–II, w trybie klas łączonych. Zgodnie z propozycją kierownika szkoły przejął też opiekę nad 38 Drużyną Harcerską im. Tadeusza Kościuszki Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP). Wkrótce utworzył też artystyczny zespół harcerski. Mimo różnego rodzaju przeszkód zgłosił go do udziału w corocznym Festiwalu Piosenki Zuchowej i Harcerskiej. Z dużym powodzeniem występował ze swoim zespołem na szczeblu rywalizacji powiatowej oraz wojewódzkiej. Założył również chór szkolny, który uświetniał takie imprezy, jak uroczystości choinkowe, czy początek i zakończenie roku

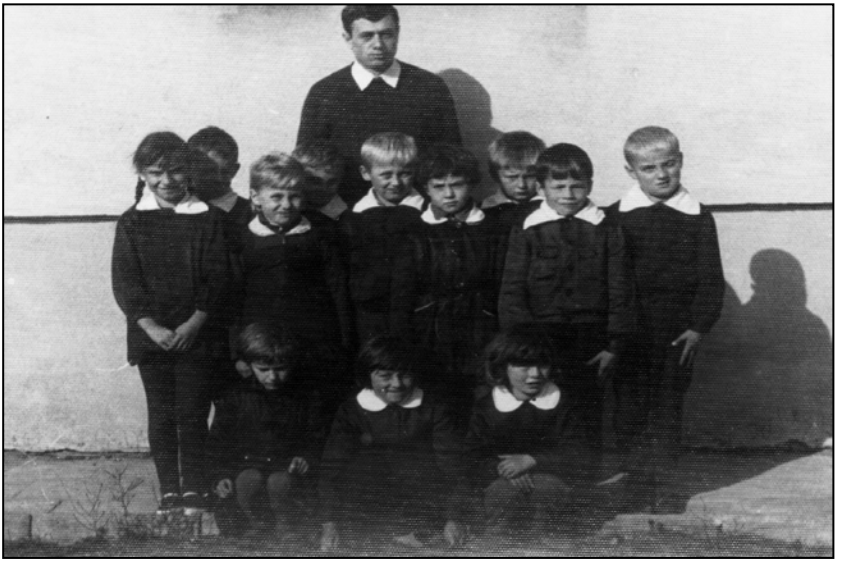

T. Derlukiewicz jako wychowawca klasy I w Kozłach

T. Derlukiewicz. jako opiekun Koła Związku Młodzieży Wiejskiej.

szkolnego. Po pewnych wahaniach podjął się również organizacji i prowadzenia miejscowego zespołu śpiewaczego, złożonego z członkiń Koła Gospodyń Wiejskich. Ponadto włączył się w działalność miejscowego Koła Związku Młodzieży Wiejskiej, m.in. w akcję dokarmiania zwierząt podczas ówczesnych ostrych i bardzo śnieżnych zim. W wieczorne zimowe dni prowadził kółko teatralne. Był pełen optymizmu, młodzieńczej energii, miał też świadomość potrzeby dalszego podnoszenia swoich kwalifikacji zawodowych. Rowerem, motocyklem, a czasami pieszo, pokonywał 8 km do Łomaz, by następnie jechać autobusem na zajęcia w Studium Nauczycielskim w Lublinie. W systemie zaocznym sfinalizował w 1968 r. naukę na kierunku wychowanie muzyczne. Bogatszy o kolejne doświadczenia zawodowe włączył się w następnych latach do pracy w łomaskiej kapeli ludowej. Kosztem wielu wyrzeczeń, jeszcze jako kawaler, zgłosił swój akces do Nauczycielskiego Chóru Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białej Podlaskiej. Systematycznie uczestniczył w próbach oraz występach tego zespołu. Czynił to, by zasmakować czegoś nowego. Praca w małej szkole przestawała już mu wystarczać. Czuł, że może więcej, że stać go na więcej.

W roli organizatora i animatora kultury

Korzystając z nowej oferty pracy T. Derlukiewicz zatrudnił się z dniem 01.09.1971 r. na etacie instruktora-pedagoga w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży w Białej Podlaskiej. W tej kulturalno-oświatowej placówce, podległej Inspektoratowi Oświaty, prowadził zajęcia w sześciu kołach zainteresowań: muzycznym, chóralnym, dwóch kołach sportowych, teatralnym oraz projekcji filmów. Mając duże doświadczenie z poprzedniej pracy organizował z dużym powodzeniem tzw. choinki noworoczne, stwarzał coraz więcej okazji do prezentacji różnych zespołów dziecięco-młodzieżowych, jakie funkcjonowały przy tej placówce. Występowały one także w Sławatyczach i Terespolu n/Bugiem. T. Derlukiewicz organizował również dyskoteki, obozy i biwaki. Charakteryzowany jako "znakomity i bardzo lubiany prezenter" doskonale sobie radził w prowadzeniu różnego rodzaju konkursów tematycznych. Wśród dzieci i młodzieży były wówczas bardzo popularne wieczorki filmowe, podczas których niezmordowany instruktor występował jako operator projektora filmowego. Szczególnie dużo miejsca w swojej pracy w Młodzieżowym Domu Kultury (MDK; nazwa ta została wprowadzona w 1973 r.) poświęcał muzyce, edukacji muzycznej wśród dzieci i młodzieży. Wspominał ten okres pracy jako czas „kiedy nie liczył godzin". Był na tyle popularnym pedagogiem, instruktorem, że gdy odszedł z pracy dotychczasowy dyrektor MDK (Eugeniusz Kosiński) powierzono mu pełnienie obowiązków kierownika placówki (na okres 9 miesięcy; od 01. 09.1974 r.). Nieustanie starał się poszerzać ofertę kulturalną dla dzieci i młodzieży. Czasami irytowała go bezczynność

zwierzchnich władz oświatowych, ich lekceważący stosunek względem młodego pokolenia bialczan. Pełen pomysłów, nowych rozwiązań w obszarze kultury, nie zawsze znajdował posłuch i zrozumienie.

Szereg pomysłów realizował T. Derlukiewicz również jako instruktor Hufca ZHP w Białej Podlaskiej. Dążył do rozśpiewania braci harcerskiej, inspirował zakładanie dziecięcych i młodzieżowych harcerskich zespołów ar-

Zespół Pieśni i Tańca Spółdzielni Inwalidów „Elremet”

tystycznych. Wizytując drużyny harcerskie w szkołach powiatu bialskiego upominał się u kierowników szkół o wsparcie dla edukacji muzycznej. Pełniąc od 1973 r. funkcję zastępcy przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Hufca ZHP w Białej Podlaskiej zwracał uwagę drużynowym na rozwój turystyki i obozownictwa. Doradzał, służył pomocą – nowo powołanym drużynowym i nauczycielom. Daleki był od okazywania wyższości. Można by rzec, gdy spotykało się go w mundurze instruktora ZHP, to naprawdę odnosiło się wrażenie, że to „prawdziwy instruktor". Lubił nowe wyzwania.

Powołanie do życia województwa bialskopodlaskiego (czerwiec 1975 r.) stało się okazją do podjęcia nowych zadań. Z dniem 01.08.1975 r., korzystając z okoliczności powołania Wojewódzkiego Domu Kultury (WDK) w Białej Podlaskiej, T. Derlukiewicz zatrudnił się w nim na stanowisku starszego instruktora. Po roku pracy został kierownikiem działu organizacji i społecznego uczestnictwa w kulturze WDK. Równocześnie w sposób znaczący poszerzony został zakres jego zadań. Sprawował m.in. nadzór merytoryczny nad wszystkimi zespołami artystycznymi z obszaru byłego województwa bialskopodlaskiego oraz Łosickim Domem Kultury. Wśród jego zadań było orga-

nizowanie przeglądów zespołów artystycznych, muzycznych, chóralnych, tanecznych i teatralnych. Organizował m.in. eliminacje dla zespołów artystycznych (do przeglądów ogólnopolskich), sprawował nadzór nad zespołami artystycznymi odwiedzającymi woj. bialskopodlaskie, był organizatorem I Wojewódzkiego Przeglądu Kapel i Śpiewaków Ludowych (23.05.1976 r.), eliminacji wojewódzkich XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Parczewie (22.01.1978 r.), eliminacji wojewódzkiego II Młodzieżowego Przeglądu Piosenki w Radzyniu Podlaskim (15.01.1978 r.), I Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Tańca Ludowego w Białej Podlaskiej (03.12.1978 r.), Przeglądu Teatrów Amatorskich Województwa Bialskopodlaskiego w Łosicach (28.05.1979 r.). Charakteryzowano go zawsze jako „sumiennego, obowiązkowego, koleżeńskiego i uczynnego człowieka".

Działalność organizacyjną w WDK łączył z prowadzeniem kapeli ludowej. Od 01.08.1977 r. występował na próbach i koncertach jako skrzypek Zespołu Pieśni i Tańca "Podlasie", funkcjonującego przy filii warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej. Występował też jako członek kapeli Zespołu Tańca Ludowego Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców "Społem" oraz Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego "Biawena" w Białej Podlaskiej. Ponadto, za zgodą dyrekcji WDK prowadził koło chóralne i koło projekcji filmów przy Młodzieżowym Domu Kultury w Białej Podlaskiej. Rozliczne obowiązki starał się łączyć tak, aby nie ucierpiały sprawy rodzinne. Jak wspominał, czasami miał rozterki czy postępuje słusznie. Miłość do muzyki, do śpiewu, rekompensowana była czasami podziękowaniami lub wyjazdami z koncertami za granicę. Chcąc mieć więcej czasu, dla siebie i dla rodziny, postanowił jednak zmienić pracę.

Korzystając z nowej oferty, z dniem 01.07.1979 r. zatrudnił się na stanowisku kierownika działu społeczno-wychowawczego Spółdzielni Inwalidów "Elremet" w Białej Podlaskiej. Zgodnie z zakresem zadań miał zajmować się organizacją życia kulturalno-oświatowego społeczności spółdzielczej. Zobowiązany był także do sprawowania opieki nad Izbą Pamięci, biblioteką oraz zakładowym radiowęzłem. Do jego obowiązków należało także kierowanie kapelą i zespołem śpiewaczym pieśni i tańca, jaki funkcjonował przy Spółdzielni Inwalidów "Elremet". Ponadto odpowiadał za obsługę kulturalno-rozrywkową ośrodka rehabilitacyjnego tej spółdzielni w Serpelicach n/Bugiem. Dzięki intensywnym próbom doprowadził do podniesienia poziomu artystycznego w/w zespołu, wzmocnienia składu osobowego, wzbogacił także repertuar o nowe przyśpiewki, pieśni i tańce. Posunięcia te zaowocowały szeregiem sukcesów zespołu, nie tylko w skali wojewódzkiej, ale i ogólnopolskiej. Zespół Pieśni i Tańca Spółdzielni Inwalidów „Elremet" z Białej Podlaskiej stał się rozpoznawalny, a w latach 80. XX w. chętnie zapraszany dla uświetnienia różnych uroczystości. T. Derlukiewicz cieszył się z jednej strony z sukcesów zespołu, z drugiej jednak, jak wspominał, czuł się niedowarto-

ściowany i niedoceniony przez kierownictwo w/w spółdzielni.

Mimo braku czasu cały czas podnosił swoje kwalifikacje. 14.06.1982 r. obronił pracę magisterską na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie, na temat *Rola Młodzieżowego Domu Kultury w rozpowszechnianiu działalności kulturalnej dzieci i młodzieży* Dodatkowo ukończył kurs redaktorów i realizatorów dźwięku rozgłośni zakładowych Towarzystwa Wiedzy Powszechnej (maj 1982 – czerwiec 1983 r.; w Lublinie). Wysiłki, jakie wkładał w podniesienie kwalifikacji, nie przynosiły jednak poprawy jego sytuacji bytowej. Kochał muzykę, śpiew, próby, dążenie do coraz większego mistrzostwa. Czuł jednak, że powinien zmienić pracę. W połowie 1983 r. wszedł w spór ze swoim pracodawcą, w kwestii uzyskania zgody na przejście do innej pracy (na zasadzie porozumienia stron). Wysunięte pod jego adresem nieuzasadnione groźby dyrekcji Spółdzielni Inwalidów "Elremet", dotyczące zwrotu pieniędzy za studia, dopełniły goryczy. Jak wspominał, „na pół gwizdka" angażował się wówczas w dotychczasową pracę. Po dwuletnim okresie sporów w sierpniu 1985 r. uzyskał zgodę na przejście do innej pracy – na zasadzie porozumienia stron, z nieuzasadnionym jednak zobowiązaniem, że pozostanie członkiem kapeli Zespołu Pieśni i Tańca przy Spółdzielni Inwalidów "Elremet".

Powrót do szkoły

Z dniem 01.09.1985 r. powrócił do pracy pedagogicznej, obejmując posadę nauczyciela wychowania muzycznego w Szkole Podstawowej Nr 6 w Białej Podlaskiej, a od 1995 r. również w Zespole Szkół Ogólnokształcących Nr 2 w Białej Podlaskiej. Związał się z tą placówką oświatową na okres ponad 12 lat. Charakteryzowano go wówczas jako „rzetelnego, zdyscyplinowanego i pracowitego pedagoga". Był też wychowawcą klasowym. Ponadto objął kierownictwo nad chórem szkolnym oraz prowadzenie dwóch zespołów muzycznych – mandolinistów i fletowego. Decyzją władz oświatowych województwa bialskopodlaskiego od 01.09.1988 r. pełnił dodatkowo obowiązki metodyka wychowania muzycznego oraz opiekuna praktyk pedagogicznych słuchaczy Studium Nauczycielskiego w Białej Podlaskiej. Jak wspominał, uczynił to by mieć więcej czasu dla siebie i być bliżej rodziny. Chęć nauczania dzieci podstaw muzyki była u niego zwykle silniejsza, stąd z zajęć szkolnych wracał późno; zawsze jednak z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. W najmniejszym stopniu doceniała jego pracę dyrekcja szkoły, w największym dzieci oraz rodzice.

Za zgodą dyrekcji Szkoły Podstawowej Nr 6, a później kierownictwa Zespołu Szkół Ogólnokształcących Nr 2, uczestniczył w próbach i koncertach kapeli Zespołu Pieśni i Tańca "Podlasie", istniejącej przy bialskim Wydziale Wychowania Fizycznego i Sportu Warszawskiej AWF. Brał także udział w koncertach Zespołu Pieśni i Tańca Spółdzielni "Elremet". Szczególnie często występował ze wspomnianym wyżej studenckim Zespołem Pieśni i Tańca "Podlasie". Kilkukrotnie wyjeżdżał z tym zespołem na Białoruś. Był także uczestnikiem Międzynarodowego Festiwalu Folkloru w Efezie (Turcja; 20.

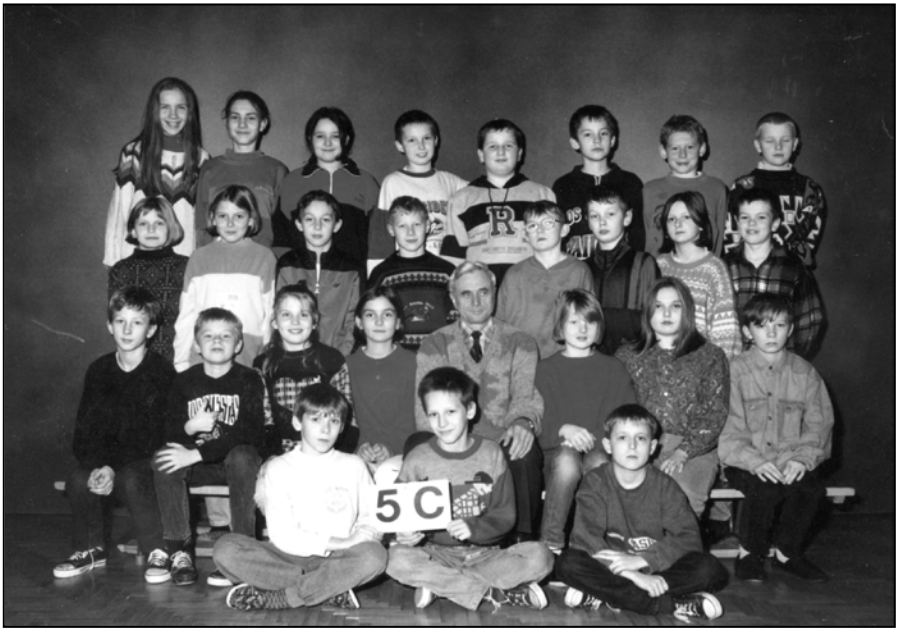

T. Derlukiewicz z uczniami klasy 5 C Szkoły Podstawowej Nr 6

04.– 10.05.1986 r.) i Leuven (Belgia; 03 – 10.04.1996 r.). W styczniu 1995 i w 1996 r. uczestniczył w koncertach zespołu z okazji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Białej Podlaskiej. W rozmowach wspominał ten okres jako pełen zajęć, udziału w koncertach oraz licznych wyjazdach. Z drugiej strony, żal mu było, że tak piękny dorobek Zespołu Pieśni i Tańca Spółdzielni Inwalidów "Elremet" został zaprzepaszczony.

Mimo rozlicznych zajęć znajdował czas na spotkania towarzyskie, m.in. w gronie przyjaciół "Leśniaków". Wracał wtedy we wspomnieniach do lat szkolnych – w Liceum Pedagogicznym w Leśnej Podlaskiej. Bardzo wysoko cenił to, co dała mu leśniańska szkoła. Starsi i młodsi koledzy zachęcali go do zbierania pieśni i przyśpiewek, do utrwalania kultury ludowej Po-

„Lewkowianie” (2001 r.)

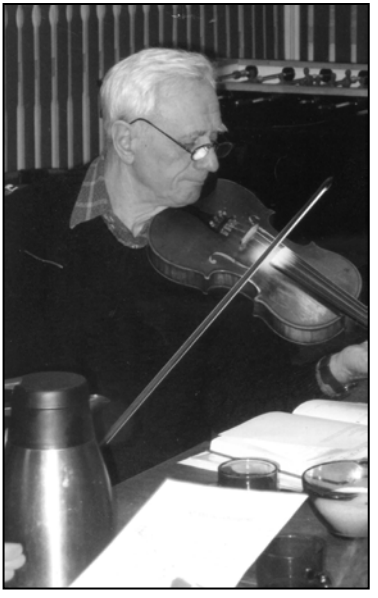

T. Derlukiewicz podczas próby z zespołem „Lewkowianie”

łudniowego Podlasia. W szczerych rozmowach dzielił się swoimi uwagami i spostrzeżeniami. Wiele rzeczy mu się nie podobało, zwłaszcza szerzące się coraz powszechniej chamstwo i cwaniactwo. Niezwykła aktywność artystyczna, wielość zajęć, odbijały się na jego zdrowiu. Po niemal 39 latach pracy zawodowej zdecydował się z dniem 01.05. 1998 r. przejść w stan spoczynku.

Piewca folkloru i kultury śpiewaczej

Po kilku miesiącach odpoczynku postanowił jednak robić to, o czym wcześniej zamyślał, to znaczy zbierać pieśni i przyśpiewki ludowe z Południowego Podlasia. Miał świadomość, że jest w tej dziedzinie jeszcze dużo do zrobienia, miał też nadzieję, że uda się uratować od zapomnienia wiele pieśni i przyśpiewek ludowych. Z drugiej strony, nadal pragnął być czynnym pośród ludzi. Chociaż nadal pozostawał członkiem kapeli muzycznej przy Zespole Pieśnii Tańca "Podlasie" (Wydział Zamiejscowy Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej), to uważał, że powinien robić coś na własne konto, co byłoby wyłącznie jego autorstwa. Po rozmowie z dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury gminy Biała Podlaska Bożenną Pawliną-Maksymiuk podjął się organizacji i prowadzenia zespołu obrzędowo-śpiewaczego we wsi Woskrzenice k. Białej Podlaskiej (od 1 września 1998 r.). Wkrótce potem w porozumieniu z dyrektor GOK doprowadził do powstania zespołu śpiewaczego we wsi Perkowice. Rozpoczął on działalność pod jego kierunkiem 01.02.1999 r.

Pierwszy z tych zespołów, obrzędowośpiewaczy "Wrzos" z Woskrzenic, wprowadził do swojego repertuaru wiele piosenek ludowych, biesiadnych oraz przyśpiewek. Stał się też znany z prezentacji intere-

sujących widowisk obrzędowych, takich m.in. jak *Woskrzenickie wieczory przy kądzieli, Noc Świętojańska na Podlasiu.* To ostatnie z widowisk emitowała telewizja TVN. Drugi z zespołów śpiewaczych, "Kalina" z Perkowic, prezentował się na szeregu festynach i konkursach, zdobył m.in. wyróżnienie im. Danuty Bołtowicz na XII Festynie Pieśni Maryjnej w Leśnej Podlaskiej (2006 r.).

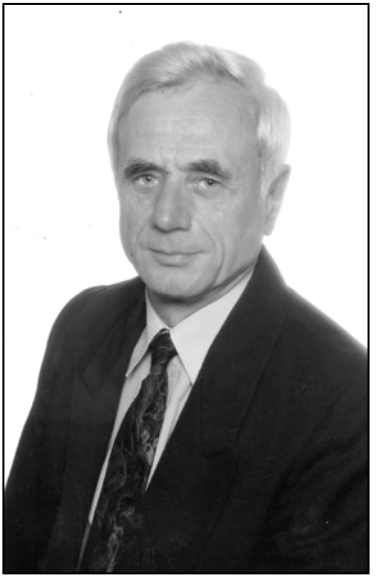

T. Derlukiewicz

W 2001 r. Tadeusz Derlukiewicz został kierownikiem muzycznym kolejnego zespołu obrzędowo-śpiewaczego – "Lewkowianie" we wsi Dokudów. W pracy z tym kilkuosobowym zespołem osiągnął chyba najwięcej, gdyż nie tylko odtworzył wiele pieśni, piosenek i przyśpiewek, charakterystycznych dla Południowego Podlasia, m.in. w języku chachłackim, ale był również reżyserem, scenarzystą i aktorem wielu widowisk teatrano-obrzędowych wystawianych przez zespół "Lewkowianie". Zapisał się w kulturze Południowego Podlasia wystawieniem takich widowisk teatralno-obrzędowych, jak "Korowaj", "Hohoty", "Chusta prać", "Walanki", "Dokudowskie wesele", "Tłuka", "Jak to dawniej w Dokudowie kapustę kwasili", "Odwidki" (pierwsze trzy w opracowaniu Anieli Halczuk). Dla dokudowskiego zespołu opracował zbiór dawnych pieśni i przyśpiewek, co utrwalone zostało także w postaci nagrania dźwiękowego. Z racji oryginalności prezentowanych widowisk obrzędowo – śpiewaczych, także troski o kulturę lokalną, dwukrotnie wyróżniany był nagrodami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Na przełomie 2012 i 2013 r. Tadeusz Derlukiwicz zorganizował w Czosnówce zespół obrzędowo – śpiewaczy "Kaczeńce". Próby z tym zespołem rozpoczął w styczniu 2013 r. Do jego repertuaru włączył wiele nowych pieśni ludowych, a także patriotycznych. Odpowiadając na prośbę Koła Gospodyń Wiejskich w Dubowie (gm. Łomazy) jesienią 2013 r. podjął się organizacji i prowadzenia piątego z kolei zespołu śpiewaczego. W pracy z tymi zespołami łączył duże nadzieje; był pełen optymizmu.

Ponad 15-letni okres pracy twórczej z zespołami śpiewaczymi i śpiewaczo-obrzędowymi zaowocował znacznym wzbogaceniem repertuaru folklorystycznego Południowego Podlasia. Zebranych zostało ponad 200 pieśni, piosenek i przyśpiewek (ok. 80 nowych opracował muzycznie), wystawionych było ok. 30 widowisk obrzędowo-teatralnych. Praca ta, jakże ważna, jakże pożyteczna, dla ocalenia i utrwalenia kultury śpiewaczej regionu.

A przy tym wypływała ona z potrzeby serca, mimo odczuwanych niekiedy wahań i rozterek. Nie zawsze też była zauważana, nie zawsze nagradzana, czy to przez instytucje kultury, czy władze samorządowe. Ceniona jednak była w środowiskach lokalnych regionu bialskopodlaskiego.

***

Żonaty (07.01.1977 r.) z Ewą Kozioł; miał syna Jakuba Wiesława (ur. 1978 r.) i córkę Katarzynę Magdalenę (ur. 1980 r.). Odznaczony Medalem 40-lecia Polski Ludowej, uhonorowany odznaką za zasługi dla Województwa Bialsko-podlaskiego, odznaką Zasłużony Działacz Kultury, Złotą Odznaką Honorową Towarzystwa Przyjaźni Polsko Radzieckiej, odznaką Zasłużony dla Gminy Biała Podlaska, wyróżniony ok. 30 dyplomami i podziękowaniami.

Bibliografia

Archiwum Bialskiego Centrum Kultury w Białej Podlaskiej - Akta osobowe sygn. 45 i 46, Derlukiewicz Tadeusz; Archiwum Spółdzielni Inwalidów "Elremet" w Białej Podlaskiej, Akta osobowe sygn. 86 D, Derlukiewicz Tadeusz; Archiwum Zespołu Szkół Ogólnokształcących Nr 2 w Białej Podlaskiej, Akta osobowe sygn. 308, Tadeusz Derlukiewicz; Informacje Gminnego Ośrodka Kultury w Białej Podlaskiej z marca 2015 r.; Informacje żony Ewy Derlukiewicz - z maja 2015 r.; Informacje Sławomira Melaniuka - z lipca 2015 r.; Sroka J., Leśniacy: Zakład Kształcenia Nauczycieli w Leśnej Podlaskiej 1916 - 1970 (Wyd. Podlaskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Biała Podlaska 1990, s. 427).

Magdalena Nazaruk
(Biała Podlaska)

produkty

znalazła kogoś
kto zaspokoi jej potrzeby
chwilowy handel wymienny

on odlał ją ze złota
ona go z odbicia ojca

a przyciąga uduchowionych
zwykle religijnych fanatyków

nie rozmawiają o
poglądach polityce
broń Boże o Bogu

nie chce się wiązać
wiąże buty i wychodzi
kochać siebie

kuszący Adam

i stworzył Bóg mężczyznę
dziwiąc się niezmiernie z efektu
wziął więc jego żebro
by znów spróbować

warto próbować
do trzech razy...

okręgi

z balkonu przykrytego atramentem
widzę siebie na dole
jak zataczam koła
w cierpkim chaosie

ja i moje emocjonalne stany
zatrute latem

praca nad umysłem nie sprzyja poezji
odkładam wszystko na później

nie dano mi wyboru
czy chcę zostać człowiekiem
to czemu teraz
każe mi się wybierać
co ja dzisiaj
co jutro

wzdycham
i usycham

***
człowieka jako zbiór kawałków
wtłaczany

wtłaczamy go w szuflady
ludzi z pierwszego tłoczenia
kontrkulturę w mózg
półmózg

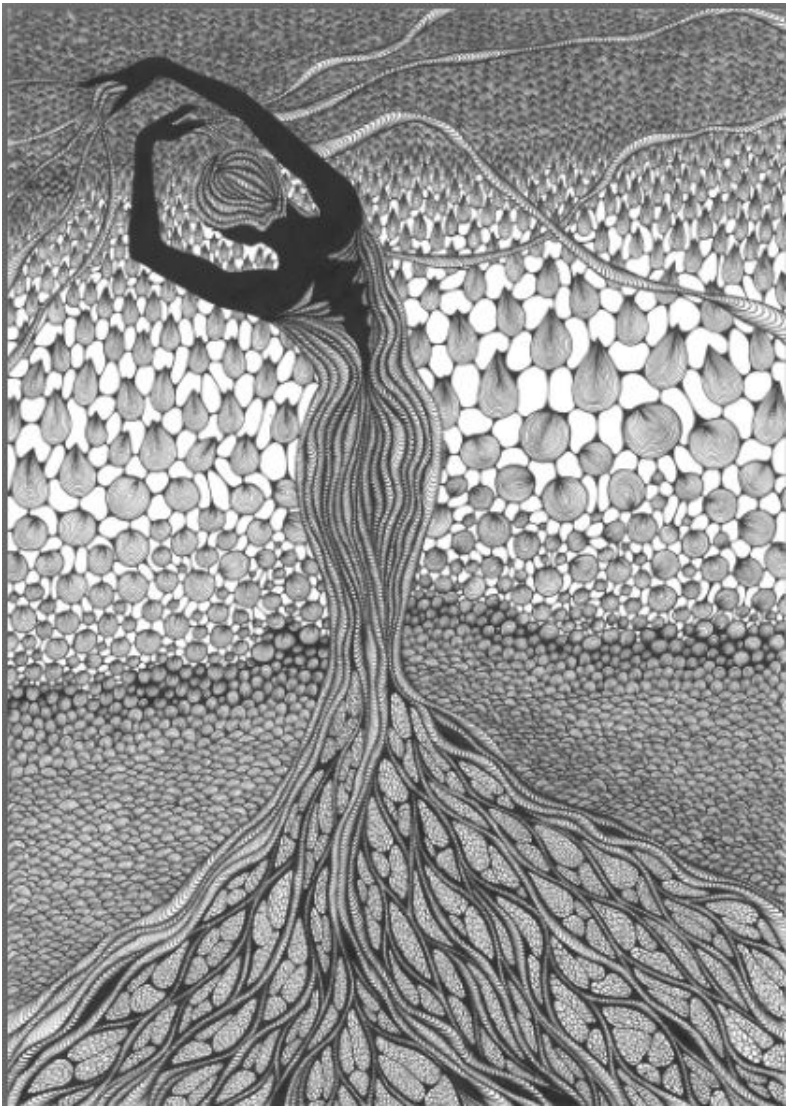

Rys. *Aneta Waluto*

dziadek Jan

ziemia ojczyzną
ogrodzę i odchodzę – mówisz

nie ukończyłeś szkół
nie masz doktoratu
nie znasz chińskiego

ale twoje świecące oczy
nauczyły mnie sentymentu
do tego co nasze
stara drewniana chata jeszcze stoi
ale jutro będzie
już tylko ziemią

żyzną wspomnieniami

dziadek Aleksander

powinien tu być
ponarzekać jak jest źle
jak drogo
i jak życie tanie

ale najbardziej szkoda jego głosu
o jeden mniej w rodzinnym chórze
i jakby harmonia nie stroi

jemu

niespokojny duch
z buntem we krwi
"artysta" - mówią
z lekka władczy
z wizją
uzasadnianą sensem
znanym tylko sobie
ten najgorszy

tak bardzo jesteśmy podobni tato
a daleko

sotnia

wmawiają nam
że życie to walka
że trzeba używać siły
komuś gorzej
żeby nam lepiej
cios za ciosem
trup na trupie
w mundurach chciwością lepkich

wschód prawy
wschód sławiący
wschód zgaszonej świecy
w płonącym domu

nad Bugiem

w różanym brzasku
pierze tkany stracony czas

na ramionach pod kwiecistą chustą
nosi tęsknoty
dziergane misternie
w naczyniach wiaronośnych

podmuch przyszłych oddechów
zmywa z fal tamte pieśni
a na drugim brzegu szkice przodków
nikną w topolach

był taki czas

****

szumną ciszą odpowiadasz
na niuanse moich drgań
wodzisz zamknięte powieki
triolami zamętu
moczysz duszę
zimnym tlenem
i przynosisz
brak pytań

ojciec Kasjan

widać go niekiedy na klasztornych
miodowych łąkach
kontrastującą czerń zbierającą zioła
dla samotnych dusz
sennie podnosi wzrok ku sklepieniu
prognozy są zmienne
a on wciąż
się żegna

wada wzroku

leżą rzędami
zmurszałe historie
zasypane
chlorofilem plastikiem i woskiem
znacząco milczą

noszę coraz cięższe okulary
od szukania kolejnych szaf
kombinezonów form
zamróź moje popękane dłonie
a będę . . .
niczym?

błogosławieni ci którzy szukają

scena z supermarketu

alejką idzie imigrant-terrorysta
i Polak-złodziej
pakują do wózków
dwa banany puszkę sardynek
i trzy kajzerki

coś się stać musi
albo w tym markecie jest bomba
albo ktoś ukradnie wózek z zawartością

bliźni katolik może tego nie wytrzymać
w końcu Polska jest dla Polaków
i Wielka Brytania jest dla Polaków
Niemcy Szwecja i Norwegia

biedny Jezus
pewnie by go tu nie wpuścili
bo nie Polak
i jeszcze Żyd

ale co będziemy sobie tym zaprzątać głowę
chodźmy jak prawdziwi Polacy
na kebaba

Włodzimierz Rutkowski
(Łódź)

Niedowiarek

- Ooo, kogo ja widzę?
- Dzień dobry, witam serdecznie.
- No i jak, biorą?
- Dopiero co rozłożyłem wędki.
- A co tam w Lublinie?
- Po staremu, jakoś się żyje.
- No, a u Was Wyrykach?
- Też nic nowego, Jedni odchodzą, drudzy przychodzą.
- Tak jak wszędzie.
- Tak jest, tak jak wszędzie.

Tańczący na wodzie spławik nagle zniknął.

- Wzięła, zacinaj pan.

Zaterkotał kołowrotek. Po chwili w podbieraku szamotał się dorodny leszcz.

- Ale ładna sztuka. Będzie miał ze dwa kilogramy
- Co pan robi?

Starszy pan rzucił rower i wbiegł do wody po kolana, usiłując gołymi rękami złapać wypuszczoną rybę.

- Nie żal panu?
- Czego tu żałować? Dla przyjemności łapię, nie dla zysku.
- Słyszałem o takim jednym, ale myślałem, że on taki jeden, a tu widzę, że się myliłem.
- Dziwaków nie brakuje na tym świecie - zaśmiał się młody mężczyzna.
- Żebyś pan wiedział, że nie brakuje, żebyś pan wiedział. Tyle że pan tego wcześniej nie robił.
- Ludzie jak widać się zmieniają - odpalił wesołym tonem młodszy mężczyzna.
- Piwa się pan napije? Nooo, na uspokojenie, bo widzę, że nerwy troszkę dały znać o sobie.
- Że co proszę?
- Zdenerwował się pan.

- Jak tu się nie zdenerwować, kiedy tyle dobra się zmarnowało. Ludzie na świecie głodują, a pan lekką ręką jedzenie wyrzuca.
- Trzymaj pan.
- Okocim! A nie odmówię poczęstunku, nie odmówię. Chyba siądę trochę, już nie te lata, nogi muszę oszczędzać. Jak byłem młody, to i łódkę swoją miałem. Nieraz cały dzień albo noc potrafiłem spędzić na środku Białego.
- A propos, skąd się wzięła nazwa jezioro Białe?
- Czort wie skąd, Białe i już. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Zabrał się do rozkładania wędki.

- Pozwoli pan? - zapytał nieśmiało starszy pan.
- Proszę bardzo, nie jestem odludkiem, a w nocy na środku jeziora nie nudno samemu?
- Ze swoją wypływałem.
- Z kobietą na ryby?
- Z teściami mieszkaliśmy, a tam na łódce – sami.
- To zmienia postać rzeczy, rozumiem.
- Raz to tak figlowaliśmy, że łódka się wywróciła.

Roześmiali się obaj w głos.

- Teraz tak, ale wtedy nie do śmiechu mi było. Łódź jak kamień w mgnieniu oka poszła na dno. Ta moja w krzyk, w płacz. Szczęściem, na wszelki wypadek zabrałem dętkę od ciągnika. Pomogłem się jej wgramolić na nią, a sam wpław. Modliłem się w duchu, żeby tylko dętka wytrzymała, bo łatana była ze trzy razy. A ta moja to dorodna, taka co to ma czym oddychać i na czym usiąść. Dla uspokojenia jej papierosa ja nawet zapalił.
- Papierosa? Skąd suche papierosy?
- Skąd? Skąd? W czapce miałem schowane.
- Aż mi się wierzyć nie chce.
- Masz ci go. Moja może poświadczyć, że tak było.
- Kobietom za bardzo nie wierzę.
- Komuś trzeba wierzyć – tu przerwał starszy pan, popatrzył w nadciągające chmury, westchnął i dodał:
- Chociaż przyznać muszę, że całe życie byłem zazdrosny, nawet teraz, a moja przecie już nie taka jak dawniej. A była grzechu warta, oj była.
- Mało kto nie jest zazdrosny. No bo co to za miłość bez zazdrości.
- Święta prawda panie, święta prawda.
- Choroba, zaczyna padać.
- Niech tam sobie pada, jak ryba jest, to mi deszcz nie straszny.

Zamilkł i począł uważnie wpatrywać się w drgający spławik. Wtem koniec wędki wygiął się w pałąk.

- I mnie szczęście dopisało.

Na twarzy starszego pana malowało się szczęście.

- Nie wypuści pan? – żartobliwie zapytał młody mężczyzna.
- Toż to grzech takie dobro marnować.
- Skoro tak, jak złapię to oddam panu. Ok?
- Nie wypuści pan?
- Nie wypuszczę, żona się pewnie ucieszy?
- Ucieszy się, ucieszy. Lubi zjeść rybkę, bo jak mówi od tego się nie tyje.
- One wszystkie chciałyby być szczupłe.
- Może i chcą, ale my chłopy musimy mieć wybór, nie? O, na ten przykład, jeden lubi szczupłą, a inny woli tęższą, tak jak ja.
- A jeszcze inny bierze jak leci – dorzucił młody mężczyzna.
- Jak to bierze?
- Zwyczajnie. W mojej firmie pracował taki jeden, też na ryby lubił się wybrać w wolnych chwilach. Do roboty się przykładał, nie spóźniał się, za często nie chorował. Dzisiaj trudno o takich pracowników. Nawet mi żal go było troszkę po tym, co go spotkało.
- A co go spotkało?
- Co? Co? Wiadomo. Nie ma rady, trzeba iść po płaszcz do samochodu. Przypilnuje pan wędki?
- Jakby inaczej, przypilnuję.
- No, teraz deszcz nie straszny, a widzę, że i pan się odpowiednio przygotował.
- Zawsze biorę nieprzemakalną kurtkę z kapturem, nawet gdy dzień jest słoneczny – odparł starszy pan, dumny ze swojej zapobiegliwości.
- To jak tam dalej było?
- Widzi pan, dzisiaj większość ludzi ma konta w bankach, karty do bankomatów, a tamta nie. Ile się on jej natłumaczył, że o wiele wygodniejsze jest wypłacanie z bankomatu, że można o każdej porze dnia i nocy, nawet w święta, niż czekanie aż listonosz przyniesie. A ona nie … i nie, że złodzieje, że chuligani, że zobaczą jak się wypłaca, że podbiegną i zabiorą … i szukaj wiatru w polu.
- Otóż to, otóż to. Moja tak samo gada, jota w jotę, i też woli, żeby listonosz jej do domu przyniósł. Fakt, parę złotych trzeba dać, choć nie musowo, ale bankowi też trzeba płacić za prowadzenie rachunku. Wiem, bo mam konto.
- Zgoda, ale skoro ktoś tak się boi, to niech idzie z mężem, albo sam on niech wypłaca z jej, czy też wspólnego konta. A ona nie. Moje pieniądze … i chcę do ręki je dostawać.
- Uparła się biedulka, zupełnie jak moja - pokiwał głową starszy pan.
- Jak taka jedna z drugą się uprze, to nie ma siły na ten upór.
- Czasami nie zawadziłoby, żeby się taka siła znalazła.

- Eeee … siły wobec kobiety używać, nie ładnie panie, nie ładnie.
- Tak, a ciekawe jakby pan zareagował, gdyby tak z ryb pan wcześniej wrócił, a ona z listonoszem.
- Panie, przestań pan głupstwa wygadywać. Jak to z listonoszem? Moja? - wykrzykiwał zdenerwowany starszy pan, pukając się w czoło wskazującym palcem.
- Mówię jak było. Człowiek wrócił wcześniej niż zapowiadał, a ta jego ślubna akurat pochylona, coś tam w szafce pod zlewozmywakiem szukała. Ten złapał ją za te krągłości i co słyszy:
- Cały miesiąc czekam na tą rentę, a ty się spóźniasz.
- Nieeee, wyszeptał poczerwieniały starszy pan.
- Tak, tak. I co pan na to?
- Nie wiem, chyba bym…
- Pali pan?
- Nie, mam już to za sobą.
- Ale się zdenerwowałem.

Palił długo … milcząc. Nagle zerwał się jak oparzony. Zabrał się do składanie wędki.

- Co się pan tak zerwał?
- Daj mi pan spokój. Za dużo nerwów przez te ryby
- A wiaderko z rybami?! – krzyczał młody mężczyzna za odjeżdżającym rowerzystą.

Ten odkrzyknął tylko przez ramię:

- A wypuść je pan do wody!

Włodzimierz Rutkowski urodził się w Łyniewie (gm. Wisznice). Uczęszczał do Szkoły Podstawowej im. T. Kościuszki w Dołholisce. Jest autorem wierszy i opowiadąń drukowanych w ogólnopolskich czasopismach literackich, głównie w miesięczniku literackim „Akant" (Bydgoszcz).

Ludwik Filip Czech
(Gdańsk)

***
Lubię chodzić po polach
I wygrzebywać z ziemi kamienie
Tyle lat leżały w ciemnościach
Należy im się trochę nieba

Jakiś widok z sosną przy drodze
Leniwie przepływająca chmurka
Horyzont niebanalny
Pejzaż z tęczą

Przy odrobinie szczęścia
Przemknie obok nich mysz
Przysiądzie motyl
Rozsypie się na wietrze
Głowa dmuchawca

A w jakie wpadną osłupienie
Kiedy zobaczą człowieka
Na czymś
Co się nazywa
Rower

Warto pomagać kamieniom
Dbać o nie
Zadziwiać je światem

Powroty

Piękne są Bory Tucholskie
Piękne są rzeki i jeziora
Ale jeszcze piękniejsze chwile
Kiedy wędrując lasem
Dochodzę do szosy

Wtedy myślę o ludziach od których uciekłem
Tylko dlatego że jak ja
Nie byli doskonali
Drażnili mnie swoją wyniosłością
Peszyli brakiem umiaru
A w chwilach kiedy naprawdę ich potrzebowałem
Znikali
Albo byli zbyt oszczędni w uczuciach

Teraz zaczynam doceniać
Ich kruchą obecność

Stoję więc przy tej szosie
Patrzę w niebo
Tęsknię

I wymyślam powroty

Prywatność

Siedzę nad jeziorem
Bardzo prywatnym
Przy brzegu tablica z zakazem
Kąpieli i połowu ryb

Niebo odbija się bezkarnie
W tej prywatności
Wiatr bez większych skrupułów
Tarmosi trzcinami
Nawet perkoz siada na wodzie
I nie zważając na sankcje
W wiadomym celu
Daje nura

Tylko ja nie mogę

Wyciągam więc zeszyt
Ćwiartkę i kiełbasę
I zaczynam pisać wiersz
Nie mniej prywatny
Ale piszę go tak
Żeby każde słowo
Było zaproszeniem

Przesyt

Wczoraj jechałem tramwajem do Wrzeszcza
Widziałem nową architekturę
Dużo luksusowych samochodów
Kolorowe bilbordy
I stado zmarzniętych studentów

W południe spadł śnieg

A jednak świat - chociaż beze mnie
Nadal istnieje
Ale nie chcę do niego wracać

Za dużo wrażeń i tlenu

Adaś i ja

Czasami gdy naprawdę się nudzimy
Kupujemy piwo i idziemy do parku

Jest tam ławka
Obok żwirowa ścieżka
Na której chłopcy uprawiają
Jogging

Wybieramy jednego
I kiedy nas już minie
W tych swoich białych
Adidasach
Wymyślamy mu życiorys

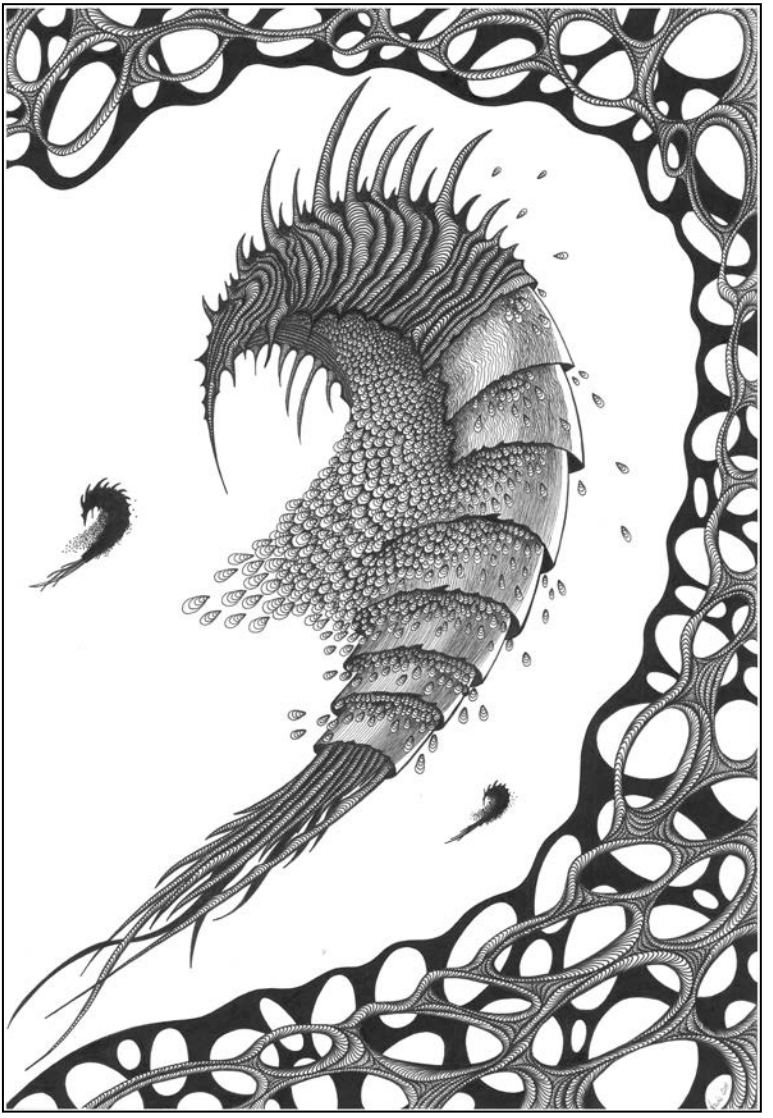

Lis

Każda śmierć godna jest uwagi
Dlatego zabrałem tamtego lisa z szosy
Co Darek były ministrant skomentował
Że przez dwa dni nie poda mi ręki

Bo chwyciłem za kitę!
A za co miałem?
Za czaszkę wbitą w asfalt
Różowe trzewia?

Podniosłem lisa za ogon –
Rudy ocalały symbol
I zaniosłem na pobocze

Ażeby jeszcze bardziej
Zgorszyć katolika
Oblizałem palce

(z tomiku *Tabu*)

***

Stoję na wzgórzu
W dole jezioro
Na horyzoncie wieś
Dwa kilometry z hakiem

Nie chce mi się tam schodzić
Znam tam wszystko na pamięć -
Szkołę pocztę kościół
Nawet cmentarz

Zresztą
Czy zejdę czy nie
Młodość i tak nie wróci

Lepiej usiąść w trawie
Zdjąć buty
Napić się wódeczki
I zagrać na grzebieniu.

Dzięcioł

Gdy spotyka się ze sobą
świat koci i ptasi
kończy się to zazwyczaj
skubaniem dzięcioła

Przyniosłem umierającego z podwórza -
teraz leży na kartonie
a jego dusza jak piórko
próbuje odfrunąć

Dawniej zebrałbym armię
wytoczył działa
rozpętał trzecią wojnę -
żeby ratować

Dzisiaj w kuchni
ze ścierką
na ramieniu
smażę kotlet

Za oknem mży
Łatwiej umierać w suchym

(z tomiku *Tabu*)

Ludwik Filip Czech jest cenionym w kraju poetą i krytykiem literackim, autorem licznych artykułów w ogólnopolskich periodykach literackich („Akant", „Topos"). Od kilku lat ściśle współpracuje z „Podlaskim Kwartalnikiem Kulturalnym", promując poetów z nadbużańskiego Podlasia.

Walentyna Gorbaczewska
(Brześć, Białoruś)

Nostalgie, czyli szuflady pamięci Henryka Kozaka

Zbiorek „nostalgia" Henryka Kozaka otrzymałam w najgorętszej porze roku, kiedy ani czytać, ani myśleć, a tym bardziej pisać się nie chce. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to tytuł tomiku oraz rok urodzenia autora – 1945, rok zwycięstwa. No i najzwyklejsza biografia, zwyczajnego chłopaka, urodzonego na nadbużańskim skrawku Europy. Tak więc, człowiek „trzeciego wieku", na ramionach którego legło już siedemdziesiąt pokonanych lat. To musi brzmieć poważnie. Przeczytałam biografię, zamyśliłam się również nad tytułem książki. No bo jest on niejako odzieniem dla człowieka-poety, w którym kogoś wita. Wszelkie wątpliwości, czytać czy nie czytać, od razu zanikły, pojawiło się bowiem od razu mnóstwo pytań: skąd „nostalgia", dlaczego właśnie ona - u wykształconego, z sukcesami, twórczego człowieka, który urodził się, dorastał i żył w jednym i tymże kraju – Polsce, który myśli, mówi i pisze - na szczęście - w jednym i tymże polskim języku. To i od razu pojawiła się chęć przeczytać, dowiedzieć się, zrozumieć, a może i co nieco napisać.

Z różnorodnych źródeł oraz biografii Henryka Kozaka dowiedziałam się, że zadebiutował w 1967 r. w „Kamenie", że w jego twórczości znalazło się miejsce tak na prozę, jak i na poezję. Opublikował dotychczas dwie powieści oraz czternaście zbiorków wierszy. I nie jest to przypadkowe. Taki właśnie harmoniczny związek prozy z poezją sprzyjał życiowym i twórczym doświadczeniom pisarza w jego dążeniu ku pełnej autoekspresji względem czytelników. Jego wiersze są nie tylko odzwierciedlenie życia poety, ale i jego artystycznej duszy. Na szczęście nie pisał swoich utworów do szuflady; dość często był publikowany, a jego twórczość została w kraju należycie oceniona i doceniona. Był laureatem licznych prestiżowych konkursów literackich, m.in. imienia Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego oraz Anny Kamieńskiej, był też tłumaczony i publikowany w językach obcych.

Wiersze ze zbiorku «nostalgia» są w istocie rzeczy osobistymi wspomnieniami autora. Gdzie by on nie był, gdzie by nie żył, gdzie mieszkał, myślami zawsze powracał tu, gdzie się urodził, gdzie było jego dzieciństwo, do

Stnika pod Białą Podlaską. Z tego odległego dzieciństwa pozostały mu najpiękniejsze wspomnienia. Właśnie do nich, ku dawno minionym latom, powraca serdeczną pamięcią w wierszach, by wspominać znowu i znowu, to, czego nie zapomniał, czego jeszcze nie utracił w krzątaninie miejskiego życia, także w goryczy poniesionych strat. Jego wierszom, na pierwszy rzut oka pozbawionym patosu, właściwa jest m.in. tak odwieczna wartość, jak miłość do

Rys. Arkadiusz Sawczuk

Ojczyzny. Zaczyna się ona od miłości do swojej ziemi rodzinnej, miejsca, w którym pojawił się na świecie. A dalej, ile by nie objechał krajów, ile zmienił mieszkań i domów, ile nie przeżył lat, we wspomnieniach i snach nieustannie powraca tutaj – do maleńkiego kraju swojego dzieciństwa, do swojej małej ojcowizny. Dla Henryka Kozaka jest nią Podlasie, niewielki Sitnik pod Białą Podlaską.

Wraz z upływem lat, zmieniającymi się wiekami i epokami, a nawet tysiącleciami, mijała większa część życia tego podlaskiego poety. Wraz z wiekiem czas jakby bardziej przyspieszał, stawał się coraz bardziej chwiejny. Nostalgia Henryka Kozaka ma wyraźnie wiekowy charakter: nostalgia za minionymi laty, za dzieciństwem, za młodością (*kiedy byłem młody// silny/ /odważny*…), za ludźmi, którzy pamiętali go, kiedy był jeszcze młodym i szczęśliwym. W wierszach odczuwalna jest nostalgia za tym, co w życiu stracił, za tym, co już nigdy nie powróci. Jednocześnie zauważalne jest w jego twórczości dążenie do zrozumienia przeszłości, by pojąć ją dzisiaj - z „wysokości" przeżytych lat.

Poezja przejawia zawsze się w odkrywaniu czegoś nowego - w świecie, w człowieku, w nas samych. Także i Henryk Kozak jest człowiekiem, w którego twórczości ujawnia się osobiste postrzeganie i rozumienie świata. Jego

wiersze są jakby spowiedzią, głęboką i przejmująca. W tych miniaturkach można prześledzić życie całego pokolenia, jakie zaistniało w latach powojennych. Młodość przechodziła w dojrzałość, dojrzałość w starość. Coraz mniej pozostawało przy życiu tych, którzy pamiętali ciebie młodym. Nie ma już do kogo pisać listów, coraz mniejszy krąg przyjaciół *(nie spotykam, kto by mnie pamiętał),* rzadziej dzwoni telefon, no i coraz częściej drzwi zamknięte.

Tomik „nostalgia" jest nie tylko zbiorem poetyckich miniaturek, wypełnionych szkicami pejzaży oraz filozoficznymi rozważaniami o życiu, starości i śmierci. Zasadniczym celem autora jest bowiem dążenie by podzielić się z czytelnikiem wysiłkiem swojej duszy i rozumu, które nie są do pomyślenia bez wcześniejszego określenia konkretnego miejsca na ziemi, bez swoich korzeni. Dlatego też podstawowe obrazy tych miniatur ukazują Podlasie (*Moje Podlasie to ogromna zielona metropolia*), niewielką wieś, w której mijało jego dzieciństwo i młodość. Kiedy był dzieckiem wszystko było namacalne, konkretne, znajome, uchwytne. Co prawda powojenne lata w dzieciństwie poety Henryka nie można nazwać pogodnymi i beztroskimi, jednak w pamięci pozostały głównie jasne i ciepłe wspomnienia.

Mógłbym tam żyć
Orać siać
Zbudować dom
Doczekać miejsca
Na piaszczystym
Wygrzanym słońcem wzgórku.

Mógłby oczywiście tam pozostać, żyć w tejże swojej jedynej wsi, w jedynym rodzinnym domu, ale Słowo otworzyło mu świat, zmusiło by oderwał się od rodzinnej ziemi, by odkrywał siebie w słowie … znowu … i znowu. Tak więc w powieściach i wierszach pisze o tym, co wchłonął w siebie w latach dziecinnych, to znaczy pola, lasy i łąki Podlasia. To tak, jak powiedział niegdyś jeden z poetów: *życie – to jedynie kontynuacja tego, co zasiane zostało w nas w dzieciństwie.* Podlasie jest dla Henryka Kozaka głównym miejscem na ziemi; wchłonęło ono w siebie całą Polskę, z jej radościami i cierpieniami, tragediami oraz sukcesami. Biała Podlaska jest dla poety miastem *dziecięcych tęsknot i pragnień.*

Mówić wierszami można tylko o tym, co najważniejsze. W jego pamięci przechowywane są tak dobre, jak i smutne wspomnienia, m.in. o matce:

Zapamiętałem też matkę
Kiedy nieopatrznie wszedłem
Do niewykończonego zimnego pokoju
Patrzyła na zaśnieżoną pustą drogę
I płakała

Wiersz ”Miejsce urodzenia” stał się swojego rodzaju podsumowaniem duchowych doświadczeń poety z lat dziecinnych.

Mamy też prawo zapytać autora, czy rzeczywiście tak bardzo piękna była ta odległa przeszłość, aby w niej ugrzęznąć na zawsze. Jego odpowiedź w wierszu:

Ja pamiętam mróz na szybach
I ścianach
I że nocą w sieni
Zamarzła w wiadrze woda
I że śnieg padał ogromnymi płatkami
Zachęcał do zabawy
Ale my
Nie mieliśmy butów
Ani ubrania ...

Chłodne, bosonogie, biedne dzieciństwo. Ale tak już funkcjonuje ta nasza pamięć, że odsiewa to co złe, a pozostawia tylko dobre.

Wiersze Henryka Kozaka są bardzo naturalne, robią wrażanie nieprzymuszonego zagłębiania się w rodzinne tradycje, w życie ludu („Siedlisko uroczysko”, „Saga rodzinna żałobna”), a wszystko przesiąknięte jest autentycznie polską mentalnością. W wierszu „Minął wiek” zagłębiamy się w atmosferę charakterystyczną dla ludowego święta:

I kryty strzechą Sitnik
I muzykantów w remizie
Przygrywających dożynkowym pląsom
Strojnym dziewczynom z wieńcami
Starowinkom w chustach
Na ławkach
Pod ścianami ...

W wierszach Henryka Kozaka dominuje jego naturalny, realny świat, napełniony życiem w latach dzieciństwa. W świecie tym nierozerwalnie powiązane są ze sobą zmieniające się stany przyrody oraz nastroje poety. W jego utworach czytelnik znajdzie nie tylko cztery pory roku, ale i poszczególne miesiące. Jest lato - *kiedy wszyscy gdzieś jadą/ Tracić czas i pieniądze…; Kończy się lato/ listonosz już nie przynosi kartek z wakacji...,* jest jesień - *Listopadowa codzienność/ Ponura i beznadziejna/ Jak starość...* Łatwo daje się zauważyć skojarzeniowo-myślowe związki pomiędzy nimi: wiosna – dzieciństwo, młodość – kwitnienie czeremchy; jesień – smutek; zima – depresja.

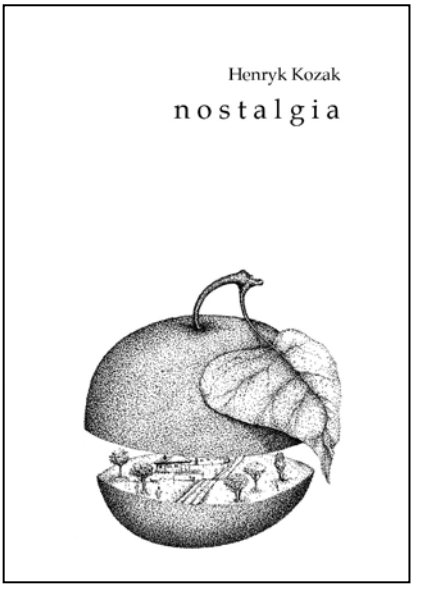

Czytelnikom starszego wieku,mam taką nadzieję, będzie imponowało to, że autor nie zagubił się w porach roku, że realnie odczuwa i akceptuje swój wiek – jesień życia; porę roku – czasami ze smutkiem, a czasami też z uśmiechem. Autor pisze o bezsenności, o zimowej depresji, budzącej strach domowej ciszy, i wszystkich zjawiskach, tak bardzo charakterystycznych dla człowieka w tzw. trzecim wieku. W ostatnich jego wierszach dużo jest powszedniości. Pomaga to jednak czytelnikowi dostrzegać w tej powszedniości również poezję.

Otwartość poety czyni go bezbronnym wobec ludzi. W pogoni za szczęściem biegł przez życie, nie oglądając się za siebie. A życie przebiegało obok. Zrozumiał to później, kiedy minęła połowa życia, kiedy do wielu rzeczy nie dało się już powrócić, ani je zmienić. Być może właśnie z tego nachodzi nostalgia?

Zbiorek «nostalgia» Henryka Kozaka zajął godne miejsce w galerii poetyckiej „Biblioteczki Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego". Można go porównać z jesiennym kwiatem. Nie da się też nie zauważyć w tym przedsięwzięciu udziału artysty-plastyka Arkadiusza Sawczuka. W lakonicznym czarno-białym rysunku (na okładce) wyraził to, co uosabia dzieciństwo oraz miły sercu zakątek ziemi.

Po lekturze wierszy Henryka Kozaka chciałoby się powiedzieć prozą: także w wieku siedemdziesięciu lat należy cieszyć się każdym dniem, każdym promieniem słońca; nie dzielić życia na młodość i starość, a wspominać wszystko co dobre, co już się w życiu spełniło. Mieć też nadzieję, że najlepsze jeszcze przed nami. Należy życzyć autorowi natchnienia i kolejnych sukcesów twórczych! Wszystko jeszcze będzie!

Tłum, z jęz. rosyjskiego:
Grzegorz Michałowski

Henryk Kozak, *nostalgia*, Biała Podlaska 2015, Towarzystwo Miłośników Podlasia (Biblioteczka Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego; nr 21)

Maria Makarska
(Lublin)

„Wszystko w swoim czasie ma swój smak”

Ryszard Kornacki opublikował ostatnio dwie książki niezwykłej urody. Jedna z nich to książka poetycka p.t. *Lublin z pamięci i snu* (Wrocław 2015), a druga wspomnieniowo-biograficzna p.t. *„Zbyszko z Bogdańca” czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku* (Wrocław 2014). To książka o popularnym aktorze teatralno-filmowym urodzonym w Międzyrzecu Podlaskim. Obie są interesujące nie tylko pod względem treści, ale także zwracają uwagę czytelnika niezwykle staranną i piękną szatą graficzną oraz ikonograficzną. Obie zostały opublikowane w Wydawnictwie ZET we Wrocławiu. *Lublin z pamięci i snu* Ryszarda Kornackiego to książka, która wpisuje się w bogaty cykl biograficzny poezji o mieście Lublinie, a zarazem jest ona dla Ryszarda Kornackiego, jak dla wielu innych poetów lubelskich, zaznaczeniem związku emocjonalnego z rodzinnym miastem. Lublin to piękne i stare miasto, prawa miejskie otrzymało w 1317 roku. Jak łatwo policzyć, za dwa lata – w 2017 roku – będzie świętowało 700-letnią rocznicę nadania praw miejskich. To przede wszystkim artyści, zauroczeni pięknem Lublina, jego starą architekturą, klimatem i magią, zaznaczają swój związek z miejscem urodzenia. Bo odnajdują tu swoje *genius loci;* jeśli nawet, jak w przypadku Ryszarda Kornackiego, emigrują później w inne regiony (Podlasie) i znajdują swoją drugą „małą ojczyznę”.

Lublin z pamięci i snu to liryczny pamiętnik Ryszarda Kornackiego, opisujący miasto czasów jego dzieciństwa i młodości.

W oczach dziecka:

(Lublin - ul. Królewska 11)

Moja kamienica
była wielkim dryblasem
pod wąsem
z klasy przerośniętych.
Zresztą wszystko tu było przerośnięte,
nad podziw ogromne:
bramy i podwórka, mieszkania
i piwnice (...)
najmniejszym z cudów byłem ja (...)

Lublin z pamięci i snu to dokonany przez Ryszarda Kornackiego wybór wierszy uprzednio już publikowanych w wielu czasopismach literackich, almanachach poetyckich, bądź wydanych wcześniej jego tomikach poetyckich. Źródło pochodzenia utworu zaznacza autor pod każdym tekstem. Zadał on sobie dodatkowy trud, wyszukał wszystkie swoje wiersze o tematyce lubelskiej z różnych opublikowanych źródeł, dołożył kilkanaście nowych wierszy i zredagował w postaci autonomicznego zbioru. Tak powstała nowa poetycka książka, która cieszy nie tylko poetę, ale przede wszystkim miłośników Lublina. Jest to już kolejna, 19 książka poetycka, opublikowana przez Ryszarda Kornackiego.

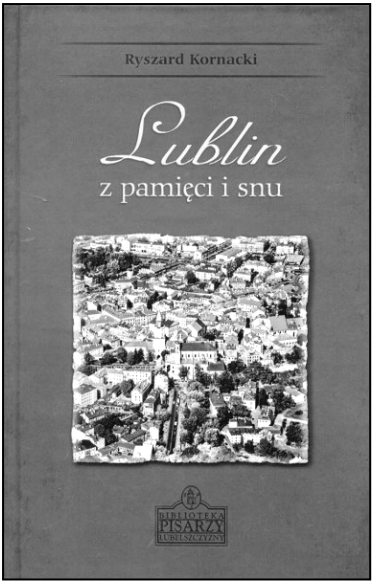

Książka ta to specyficzna podróż poety w głąb swej pamięci, opisująca bliskich sobie ludzi, przedstawiająca przestrzeń, miejsca, dom, szkołę; tam żył, wzrastał i kształtował siebie. *//Wykołysał mnie Lublin / zapisał //*. Tym tomikiem wierszy Ryszard Kornacki wpisuje się w bogaty nurt literatury wspomnieniowej, budując poprzez własną wrażliwość i emocje subiektywny smak przeszłości i zarazem swoją tożsamość.

Stare Miasto

(z cyklu: Lublin)

W tym mieście kościołów
modliłem się kiedyś
perłami wierszy Józefa
jak różańcem pokory.
Teraz modlą się
archidiakońskie kamienice
i gwiazdy nad Grodzką.

Z antologii: *Pięć wieków poezji o Lublinie.* Wstęp, wybór, opracowanie: Waldemar Michalski. Wyd. Multico Lublin 2002.

To nostalgiczna opowieść poety o mieście, które tak jak wszystko z czasem zmienia swoje oblicze, swój wygląd, swoją topografię. *//No cóż / to już nie ten*

Lublin / zapisany jeszcze do dziś / w siwej głowie poety i w sercu //(...)// Nie miej złudzeń / To już nie ten Lublin //(...)

Trudno dzisiaj znaleźć i przeczytać wiersze współczesnych poetów, którzy by z szacunkiem i wielką estymą dziękowali, tak jak czyni to Ryszard Kornacki, swoim licealnym nauczycielom za ich wysiłek wychowawczy, wiedzę, charyzmę. Dla ówczesnych uczniów nauczyciele tak bardzo często byli autorytetami w ich życiu. Poeta uczył się w II Liceum Ogólnokształcącym im. Hetmana Jana Zamoyskiego, a było to wówczas pod względem poziomu nauki i wymagań elitarne liceum Lublina. Tam, w „Zamoju", w 1959 roku zadebiutował poetycko. I tak się narodził kolejny poeta lubelski. W 2015 r. szkoła obchodziła 100–tną rocznicę powstania. Chociaż to już tylko klisza pamięci poety, to nadal wzruszające i żywe są słowa dedykowane jego nauczycielom.

Mój nauczyciel

Prof. Piotrowi Malcowi
Na wieczne życie

Ten zwykły, szary od wysiłku Człowiek
czasem radosny i lekki jak piórko na wietrze
w przydeptanych butach i niezbyt dobrze
uprasowanych spodniach
zrósł się na trwałe z Zamojem.(...)

Zza rogowych okularów umiał
przejrzeć serca jak zeszyty z klasówkami,
które dźwiga pewnie jeszcze do dziś.

Z tomu: *Ciepły dotyk duszy,*
Lublin 1999.

Wiersze Ryszarda Kornackiego zawarte w tym tomiku to próba odnalezienia wartości najprostszych, podstawowych, takich, które kształtują się i utrwalają w dzieciństwie. Stąd stanowią one liryczną narrację i są subiektywnym punktem widzenia. Czas uczy nas, że miejsca i ludzi, którzy byli nam w przeszłości bliscy, zawsze będziemy afirmować. Wzorce i wartości, którymi nasiąkamy w dzieciństwie i młodości, stają się dla nas punktem odniesienia, tak w życiu, jak i w pracy. To tacy mistrzowie słowa i formy poetyckiej, jak Jan Kochanowski, Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert czy Karol Wojtyła – „nasz Papież", uczyli go swoją twórczością i swoją filozofią życia: humanizmu, afirmacji człowieka i przyrody, głębokiej wiary w Boga, szacunku dla etyki i moralności.

Czarnoleski Jan i księżyc - na dzień dobry

O czarnoleski Janie
wyjdź pszczołom na spotkanie
wyjdź wiatrom z przepowiednią
że póki senne noce bledną świtem
w lipie nad dzbanem miodu skrytym
na cały dzień do chłodu
zachowaj pieśń – pogodę (...)

A w ulach wiersze zaczyń
ogarnij ptaki rozśpiewane
przytul do serca poranek.

Z tomu: *Dojrzewanie słowa,*
Międzyrzec Podlaski 2009.

Każdy z nas ma swoje miejsca magiczne, przestrzenie i ulice, swoich najbliższych i znajomych, których będzie zawsze darzył wspomnieniem i ciepłą pamięcią, bo to, co ukochał człowiek w dzieciństwie i młodości pozostaje na trwałe w psychice. Dodatkowych walorów artystycznych i estetycznych tym wierszom w książce *Lublin z pamięci i snu* dodaje bogata ikonografia artysty fotografika Krzysztofa Kuzko. Poprzez zdjęcia pokazuje on swoją wrażliwość architektoniczną i subiektywną interpretację piękna Lublina. Dlatego też doskonale współgrają one z poezją Ryszarda Kornackiego. Książka *Lublin z pamięci i snu*, jak i poprzednie tomy poetyckie Ryszarda Kornackiego, obrazują w wierszach motyw wędrówki poety poprzez własne życie – doznania, emocje, wrażliwość, pamięć. A ta wędrówka to cel artystyczny i dopełnienie życia poety, *// mieszkasz na Podlasiu i tęsknisz za Lublinem/ (...) /Trzeba wrócić do źródła//.*

„Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku, to druga niedawno opublikowana książka Ryszarda Kornackiego, (Wydawnictwo ZET, 2014). To interesująca biografia artystyczna powszechnie znanego i popularnego aktora Mieczysława Kalenika, urodzonego 1.01.1933 r. w Międzyrzecu Podlaskim. Aktor po zakończeniu pracy zawodowej (w 1991 r.) powrócił z Warszawy do „rodzinnego gniazda", w którym, ku zadowoleniu mieszkańców, mieszka do dziś. Jest przez wszystkich cenionym i podziwianym artystą. Zapraszany jest przez publiczność oraz dyrekcje różnych szkół na spotkania autorskie. Przy takich okazjach interesująco opowiada o polskim filmie, o swojej drodze do aktorstwa, o roli filmowej swojego życia, jaką była kreacja Sienkiewiczowskiego Zbyszka z Bogdańca w filmie „Krzyżacy" (w reżyserii Aleksandra Forda). Jego narracja dotyczy także wielu innych ról i kreacji bohaterów filmów telewizyjnych i dramatów teatralnych, w których

zagrał. Dzieli się swoimi obserwacjami i refleksjami o zaprzyjaźnionych aktorach, z którymi współpracował w filmie, teatrze czy telewizji.

Ryszard Kornacki odbył wiele spotkań z M. Kalenikiem i przeprowadził z tym aktorem wiele rozmów, publikując je następnie w książce. Rozmowy te dotyczyły domu rodzinnego, dzieciństwa, trudnych czasów wojny i okupacji, życia rodzinnego, studiów aktorskich, środowiska artystycznego, z którym się spotykał zawodowo i towarzysko. Jednak nieprzemijającą miłością była zawsze dla aktora przyroda. *(...) Ojciec zastępował mi w dzieciństwie książki przyrodnicze i albumy ze zdjęciami, które w późniejszym okresie potwierdzały jego praktyczną mądrość. Las mnie zawsze uspokajał, zadziwiał wielkością i tajemniczością. Byłem prawie pewien, że gdy dorosnę zostanę leśnikiem.(...) – Teraz gdy jestem w lesie, wędruję po okolicy tak, jakbym był tu wczoraj i widzę oczami młodości miejsca, które już są inne, ale w dalszym ciągu do mnie mówią. Wędrując samotnie w leśnej ciszy najlepiej odpoczywam i nabieram sił (...)* Kiedy Mieczysław Kalenik, jak pisze Ryszard Kornacki, był młodym chłopcem, to: *(...)Początkowo przystojny blondyn o niebieskich oczach wcale nie marzył o aktorstwie. Owszem – zajmował się od czasu do czasu recytacją w kółku szkolnym, ale bardziej interesowały go podróże i przyroda. Rozczytywał się w powieściach morskich. Myślał o tym, aby zostać kapitanem żeglugi wielkiej lub leśnikiem.*

Następny rozdział tej interesującej książki poświęcony został sukcesowi aktorskiemu „Krzyżaków". Film ten miał publiczną premierę 02.09.1960 r. Nie było widza, który by się nie zachwycił grą polskich aktorów, nie wzruszył dramatem rodziny Juranda ze Spychowa, czy nie podziwiał scen batalistycznych bitwy pod Grunwaldem. Najbardziej jednak zapadła wszystkim w pamięć kreacja Zbyszka z Bogdańca, młodego przystojnego rycerza, który nie tylko umiał bohatersko walczyć z Krzyżakami, nie tylko samotnie wyruszył „na niedźwiedzia" i pokonał go, ale potrafił wiernie kochać nieszczęśliwą Danuśkę, córkę Juranda. Nie było w latach 60 – tych w Polsce chłopca, który nie utożsamiałby się ze Zbyszkiem z Bogdańca, a dziewczynki, która nie chciałaby być tak subtelna i kochana przez rycerza jak Danuśka ze Spychowa.

Mieczysław Kalenik jak mało który aktor potrafił wiernie i bardzo wyraziście oddać wizję i charakter Zbyszka z Bogdańca, co pokrywało się z wyobrażeniami czytelników „Krzyżaków" dotyczącymi kreowanego przez niego bohatera. Wybór tego aktora, a także jego kreacja w filmie „Krzyżacy",

były „strzałem w dziesiątkę" reżysera Aleksandra Forda. To była życiowa rola Mieczysława Kalenika. Sam aktor potwierdził to w jednym ze swoich wywiadów: *(...) – Czasem coś się w życiu udaje. Może to też wynika z sytuacji, klimatu, na jaki się trafia. Zresztą tak było nie tylko w moim przypadku – Cybulski miał swojego Maćka, ja Zbyszka z Bogdańca, a Olbrychski ma teraz Kmicica. Są to role przynoszące popularność, już chociażby przez literaturę, z której powstały. I jeśli się trafi tylko taka jedna, to należy być wdzięcznym losowi, bo są to postacie, o których zagraniu się marzy (...)* Mimo że Mieczysław Kalenik grał później w wielu warszawskich teatrach („Komedia", „Powszechny", „Narodowy", „Nowy", „Teatr Polski"), występował w wielu spektaklach „Teatru Telewizji" oraz serialach telewizyjnych, a przy tym uprawiał różne dziedziny sportu, na zawsze miliony widzów utożsamiły go ze Zbyszkiem z Bogdańca. Nigdy nie udało mu się powtórzyć takiego zainteresowania i zdobyć takiego rozgłosu, jaki przyniosła mu tamta rola. A sam o sobie Mieczysław Kalenik w rozmowie z Ryszardem Kornackim powiedział po latach: *(...) Bo chociaż cieszę się, że ludzie wracają do „Krzyżaków", to jednak nie chcę być wiecznie i niezmiennie „niezapomnianym Zbyszkiem z Bogdańca"*

Dzisiaj Mieczysław Kalenik z nostalgią postrzega teatr lat 60-tych, 70-tych, 80-tych. Jak wspomina, to było miejsce prawdziwej „Kultury", sale widowiskowe wypełnione do ostatniego miejsca, chętnych do obejrzenia spektaklu zawsze więcej niż miejscówek. W przeszłości teatr był przestrzenią takiego osobliwego *katharsis,* nie tylko dla widzów, ale i dla występujących tam aktorów. Być może dlatego, że w tych trudnych czasach widzowie bezbłędnie potrafili odczytywać zawarte w spektaklach wszelkie aluzje nawiązujące do rzeczywistości. A może proponowano wtedy w kraju uboższą ofertę kulturalną. Dzisiaj na wszelkie spektakle teatralne bardzo często trzeba widzów osobiście zapraszać, bowiem oferta rozrywkowa w każdym mieście jest bardzo urozmaicona i bogata.

Mieczysław Kalenik, będąc już na zasłużonej emeryturze i odpoczywając od gry aktorskiej, ma już pewien dystans do swojej pracy zawodowej. Uważa się za aktora spełnionego. Wprawdzie nie dane mu było zagrać roli Hamleta, ale Ryszard Kornacki na końcu książki *„Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku* podaje bardzo bogaty zestaw ról, w których znany aktor występował, kreując w tych spektaklach teatralnych, filmowych i telewizyjnych niebanalne role i postacie. Było tych ról od 1957 r., czyli od czasu ukończenia studiów na PWST w Warszawie, prawie sto. W rozmowie z redaktorem Krzysztofem Lubczyńskim, którą cytuje Ryszard Kornacki, z ust aktora padły takie oto słowa:

Krzysztof Lubczyński: *(...) Znany jest Pan ze skromności, z niechęci do przepychania się, czyli nietypowej postawy jak na warszawskiego aktora, przedstawiciela środowiska, które z natury lubi być na świeczniku...*

Mieczysław Kalenik: – *Mnie to nie interesuje. Jestem człowiekiem kameralnym, nie miałem i nie mam potrzeby ciągłego błyszczenia. Nie lubię też rozmaitych imprez zbiorowych, spędów itp. Źle się czuję w takich sytuacjach. Zresztą sławy zasmakowałem jako odtwórca roli Zbyszka z Bogdańca w „Krzyżakach", i to świeżo po szkole. Przez około dziesięć lat byłem jednym z najpopularniejszych aktorów. Dodam też, że ja już się w życiu nagrałem. A poza tym, obecnie, żeby trwale istnieć, np. w telewizji i w filmie, trzeba bywać – należeć do jakiejś grupy, by nie powiedzieć „kliki", a mnie to nie interesuje.*

„Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku to piękna książka – album, z bogatą ilością zdjęć i fotosów, eksponująca i opisująca niebanalne życie człowieka – Mieczysława Kalenika. Aktor pochodzący z małego prowincjonalnego miasteczka na Podlasiu swoją ciężką pracą, ambicją, talentem i wielkim uporem, zdobył uznanie i sławę aktorską wśród widzów w Polsce. Ryszard Kornacki umiejętnie pokazał czytelnikowi, że Mieczysław Kalenik poprzez sztukę aktorską, poprzez własne środki wyrazu artystycznego, jako człowiek wrażliwy budował sobie własny azyl, własną przestrzeń, tworzył sobie własny świat, potrafił zachować wolność ducha.

Obie książki Ryszarda Kornackiego p.t. *Lublin z pamięci i snu* oraz *„Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku* mówią o tym, że każde ludzkie życie składa się z kilku różnych biografii, a my jesteśmy w nich głównymi bohaterami i dokonujemy różnych wyborów, pozostawiając po sobie określone osiągnięcia, efekty, dorobek twórczy. Z czasem patrzymy na siebie z coraz większym dystansem, zadając sobie pytanie, czy to my byliśmy tam i wtedy, w tej a nie innej konkretnej przestrzeni, i czy to myśmy wykonali ten ogrom pracy? Czy to ja byłem?... Upływ czasu i wszelkie sytuacje graniczne człowieka pokazują, że jedno jest zawsze pewne i stałe w naszym życiu – jest to powrót w przeszłość, do dzieciństwa i młodości, do rodziny, do gniazda. „Na Ojcowiznę po omacku trafisz..." – jak mówi przysłowie. Odbywa się to dwojako, mentalnie i artystycznie, jak w przypadku wierszy Ryszarda Kornackiego *(„Lublin z pamięci i snu")* lub fizycznie i topograficznie, jak powrót Mieczysława Kalenika do miejsca urodzenia, do Międzyrzeca Podlaskiego. Tam dorastał pod opieką rodziców, tam chodził do szkoły, tam spędził dzieciństwo i młodość.

Ryszard Kornacki napisał w wierszu: *Wszystko w swoim czasie ma swój smak...* Myślę, że jeśli uda się nam trafić w swój czas, to chyba nazywa się to *„szczęście"...*

Ryszard Kornacki, *Lublin z pamięci i snu,* Wrocław 2015.
Ryszard Kornacki, *„Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku.* Wrocław 2014.

Brodacze ze Sławatycz

Sławatyccy „Brodacze" ze są wyjątkowymi w kraju (i na świecie) kolorowymi przebierańcami. Tradycyjnie żegnają każdy upływający stary rok, śpiewając i robiąc psikusy mieszkańcom tej miejscowości. Szczególnie wypatrują ich dziewczęta, gdyż spotkanie z nimi, według miejscowej przepowiedni, jest zapowiedzią powodzenia oraz szczęścia w nadchodzącym nowym roku. Sławatycki Dom Kultury zorganizował 29 grudnia wybory „Brodacza Roku 2015". Do konkursu zgłosiło się 15 osób. Komisja w składzie Grzegorz Kiec - wójt gminy Sławatycze, Zyta Kosińska – kierownik Działu Instrukcyjno-Metodycznego Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej, Anna Chwedoruk – instruktor Działu Instrukcyjno-Metodycznego MBP w Białej Podlaskiej, Krzysztof Kowalski – „brodacz" z lat 80. i 90. oraz Sławomir Iwaniuk – nauczyciel sztuki w Zespole Szkół w Sławatyczach oceniała poszczególne elementy strojów i zdecydowała o przyznaniu nagród dla następujących brodaczy:

– I miejsce i tytuł „Brodacz Roku 2015" – Arnold Sołoduszkiewicz
– II miejsce – Damian Zagajski
– III miejsce – Dawid Spólny

Przyznano również trzy wyróżnienia, które otrzymali: Tomasz Buraczyński, Kacper Kuszneruk i Dominik Hasiuk.

Sławatyccy „Brodacze"

„Powrót kwestarza” w bialskim muzeum

14 grudnia 2015 r. w Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej zaprezentowano obraz Alfreda Wierusza-Kowalskiego „Powrót kwestarza” (z 1873 r)., pozyskany dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz wsparciu Prezydenta Białej Podlaskiej. Zakupiona praca należy do wyjątkowych dzieł Alfreda Wierusza-Kowalskiego. Artysta namalował go podczas pobytu w Monachium, a następnie zaprezentował na

Alfred Wierusz-Kowalski, „Powrót kwestarza”, 1873 r)

Powszechnej Wystawie Światowej w Wiedniu , która miała miejsce w dniach 1 maja - 31 października 1873. Płótno początkującego młodego artysty zostało wówczas zauważone pośród tysięcy innych obrazów, zyskując pochlebne oceny co do kompozycji oraz warsztatu malarskiego. W obrazie widać zapowiedź tematyki i stylu późniejszych prac artysty: rodzimy pejzaż ze scenami rodzajowymi, złożonymi z zaprzęgów konnych przemierzających wiejską drogę (przebiegającą ukośnie pośród pól). Charakterystyczna dla jego późniejszych dzieł jest również ironia w obrazowaniu tematyki historycznej. Przedstawiony epizod zainspirowany został opowieścią Ignacego Chodźko pt. „Pamiętniki kwestarza" (1844). W rysach twarzy młodego woźnicy badacze dostrzegli autoportret młodego Wierusza. „Powrót kwestarza” do niedawna uchodził za zaginiony. Po wystawie wiedeńskiej zakupiony został do galerii londyńskiej, następnie pojawił się na terenie Bawarii, i tam też został zakupiony do zbiorów prywatnych w Polsce. Po 140 latach od debiutu zaprezentowano go w Muzeum Okręgowym w Suwałkach. To jedno z najważniejszych dzieł, a na pewno jedno z najdroższych w Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej. Od 14 grudnia 2015 r. obraz eksponowany jest na

stałej wystawie "Konie, jeźdźcy, zaprzęgi w malarstwie polskim XIX i XX wieku".

Pejzaż Słowiański – Wiktor Korecki

Również 14 grudnia 2015 r. odbył się w Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej wernisaż malarstwa Wiktora Koreckiego. Malarz ten urodził się 30 czerwca w 1897 r w Kamieńcu Podolskim (w wielu biogramach

Wiktor Korecki, „Młyn o zachodzie słońca"

artysty podawana jest błędna data jego urodzenia – rok 1890). W. Korecki uczęszczał do Gimnazjum w Kijowie, następnie studiował w Szkole Rysunkowej N. Muraszki. W okresie międzywojennym brał udział w trzech wystawach zbiorowych Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Po wybuchu Powstania Warszawskiego, podczas którego spłonęła jego pracownia (z częścią dorobku), wraz z tysiącami mieszkańców stolicy wywieziony został do Niemiec, gdzie trafił do obozu pracy w Lipsku. Po ucieczce z obozu niemal dwa lata przebywał na Morawach - w Czechach. W 1946 r. zamieszkał pod Warszawą, najpierw w Komorowie, później w Milanówku. Tworzył nastrojowe pejzaże mazowieckie – głównie wrzosowiska, zamglone rozlewiska, leśne drogi. W 1966 r. przeniósł się do Komarowa. Zmarł w 1980 r.

I Wojewódzki Konkurs Recytatorski Utworów Adama Mickiewicza

26 listopada 2015 r., w 160. rocznicę śmierci Adama Mickiewicza, w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 2 im. A. Mickiewicza w Białej Podlaskiej odbył się I Wojewódzki Konkurs Recytatorski Utworów Adama Mickiewicza, zorganizowany dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimna-

zjalnych województwa lubelskiego. Honorowy patronat nad konkursem objęli: Krzysztof Babisz – lubelski kurator oświaty, Tadeusz Łazowski – starosta bialski, Dariusz Stefaniuk – prezydent miasta Biała Podlaska. W konkursowej rywalizacji uczestniczyło 64 uczniów z Białej Podlaskiej oraz z piętnastu innych miejscowości naszego regionu: Chotyłowa, Jabłonia, Janowa Podlaskiego, Kocka, Konstantynowa, Krzewicy, Leśnej Podlaskiej, Łukowa, Międzyrzeca Podlaskiego, Parczewa, Piszczaca, Rokitna, Rossosza, Terespola i Wisznic. Recytacje oceniało profesjonalne jury, w składzie: prof. nadzw. dr hab. Violetta Machnicka – językoznawca, onomasta, dyrektor Instytutu Filologii

Laureaci I Wojewódzkiego Konkursu Recytatorskiego Utworów Adama Mickiewicza

Polskiej i Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach; dr Barbara Stelingowska – literaturoznawca, glottodydaktyk z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach; dr hab. Rafał Szczerbakiewicz – literaturoznawca, filmoznawca z UMCS w Lublinie; Przemysław Kaliszuk – literaturoznawca z UMCS w Lublinie; Artur Kocięcki – aktor Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, poeta, laureat wielu ogólnopolskich konkursów recytatorskich; Bartosz Koterba – wykładowca KUL i redaktor Radia Lublin. Po wysłuchaniu uczestników jurorzy wyłonili najlepszych w poszczególnych kategoriach wiekowych. Wśród uczniów szkół podstawowych pierwsze miejsce ex aequo zajęli Aleksandra Dudyk (jej nauczyciel Anna Kaliszczuk) ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Białej Podlaskiej i Bartłomiej Niewęgłowski (naucz. Elżbieta Gajek) ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Łukowie, drugie – Mateusz Ciesielski (naucz. Bogumiła Janiszek) ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Białej Podlaskiej, a trzecie Magdalena Filipek (naucz. Barbara Krzewska) ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Parczewie. Wyróżnienia przyznano: Marii Barszcz (naucz. Elżbieta Szulak) ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Białej Podlaskiej oraz Julii Olszewskiej i Miłoszowi Teledze (naucz. Ka-

tarzyna Miłaszewska) ze Szkoły Podstawowej nr 3 z Międzyrzeca Podlaskiego. W grupie gimnazjalnej zwyciężyła Aleksandra Jakoniuk (naucz. Anna Jakubowska) z Publicznego Gimnazjum nr 6 w Białej Podlaskiej. Drugie miejsce przyznano Julii Zaorskiej (naucz. Dorota Poleszczuk) z Publicznego Gimnazjum nr 1 w Terespolu, a trzecie Magdalenie Marciniak (naucz. Barbara Łaziuk) z Publicznego Gimnazjum nr 2 w Krzewicy. Wyróżnienia otrzymali: Krzysztof Niemiałtowski (naucz. Barbara Walczak) – Publiczne Gimnazjum nr 2 w Łukowie, Zofia Piaszczyk (naucz. Anna Jakubowska) – Publiczne Gimnazjum nr 6 w Białej Podlaskiej oraz Beata Witek (naucz. Teresa Semeniuk) – Publiczne Gimnazjum w Rokitnie. W gronie uczestników ze szkół ponadgimnazjalnych najwyżej oceniono recytację Katarzyny Hapon (naucz. Bożena Kusiuk), reprezentującej Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Jabłoniu. Drugie miejsce przyznano Julii Przygodzie (naucz. Maria Sewastianiuk) z I Liceum Ogólnokształcącego w Białej Podlaskiej, a trzecie Pawłowi Jermołowiczowi (naucz. Bożena Kusiuk) z ZSCKR w Jabłoniu. Wyróżnione zostały: Patrycja Demianiuk (naucz. Kamila Kolęda) i Klaudia Kochanowska (naucz. Bożena Mielniczuk) z Liceum Akademickiego w Białej Podlaskiej oraz Marta Łaska (naucz. Małgorzata Tokarska) z I Liceum Ogólnokształcące w Białej Podlaskiej.

Przekroje wykroje i inne

8 stycznia 2016 r. odbył się w Galerii Podlaskiej wernisaż malarstwa i videoartu Pawła Zakrzewskiego, studenta wydziału grafiki warszawskiej ASP, absolwenta realizacji TV PWSFTViT w Łodzi, kulturoznawstwa w Warszawie, byłego studenta Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu (wydział multimediów). Na co dzień zajmuje się on filmem, sztuką wideo, malarstwem, grafiką. Swoje filmy prezentował m.in. w Muzeum Kinematografii w Łodzi i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie "Ekran Ot-warty", jak też na wystawach indywidualnych: Sen Pszczoły, Barometr, Funky Studio, Milano. Brał też udział w licznych wystawach zbiorowych oraz aukcjach młodej sztuki. Jego prace cechuje ekspresja, z domieszką czarnego humoru, nawiązujące do estetyki sztuki ulicznej nowego ekspresjonizmu czy Brut Artu.

Paweł Zakrzewski, „Moi galaktyczni przyjaciele savanci”

„Ziemia najbliższa" – XX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Romualda III Mikoszewskiego

20 listopada 2015 r. odbył się w Łosickim Domu Kultury finał XX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Romualda III Mikoszewskiego pt. „Ziemia najbliższa". Organizatorem był Łosicki Dom Kultury, współorganizatorem Urząd Miasta i Gminy w Łosicach. Patronat nad konkursem objęli: starosta łosicki oraz burmistrz miasta i gminy Łosice. Na konkurs wpłynęło 49 zestawów wierszy, nadesłanych przez autorów z całej Polski. Jury, w składzie Ernest Bryll – przewodniczący, Jan Zdzisław Brudnicki, Ryszard Kornacki, Joanna Obrępalska i Tomasz Dobrowolski, po zapoznaniu się z pracami przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Laureaci XX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. R. III Mikoszewskiego"

- wyróżnienia drukiem: „ZIEMIA URLO" – Anna Piliszewska (Wieliczka), „GARDENIA" – Barbara Rachowska (Zduńska Wola), „DWA SŁOŃCA" – Marzena Jaworska (Warszawa), „BRZOZA" – Magdalena Jóźwiak (Toruń), „DOKTOR" – Sławomir Szewczyk (Buguty-Pianki), „PLISZKA" – Tadeusz Charmuszko (Suwałki), „EUSTACHY" – Ryszard Chojecki (Łosice);
- wyróżnienie w kategorii szkoły: autor pracy opatrzonej godłem „KEJTI" – Katarzyna Kamińska, uczennica klasy IV Technikum Ekonomicznego w Zespole Szkół nr 3 RCKU w Łosicach;
- nagroda specjalna (za wiersze o tematyce regionalnej), ufundowana i wręczona przez starostę łosickiego Czesława Gizińskiego: autor pracy opatrzonej godłem „IMAGINACJA" – Ewa Koziara (Konstantynów);
- wyróżnienie za zestaw wierszy opatrzonych godłem „KLEOPATRA" – Maria Szafran (Świebodzin);

- dwie równorzędne II nagrody: zestaw wierszy opatrzony godłem „EREMITA”-Dominik Sobol (Warszawa), zestaw wierszy opatrzony godłem ”PERKOZ DWUCZUBY” – Stanisław Wasilewski (Żyrardów);
- dwie równorzędne I nagrody: za zestaw wierszy opatrzony godłem „ROKSANA” – Mirosław Puszczykowski (Mogilno), za zestaw wierszy opatrzony godłem „ARTYCH” – Marianna Pawłowska (Niemojki).

Marianna Pawłowska (pierwsza nagroda)

Nagrody wręczyli: starosta łosicki Czesław Giziński, burmistrz Miasta i Gminy Łosice Mariusz Kucewicz oraz dyrektor Łosickiego Domu Kultury Grzegorz Dołęgowski. Nagrodzone wiersze deklamowali uczniowie Zespołu Szkół nr 3 w Łosicach.

Ocalić od zapomnienia

20 listopada 2015 r. podczas II Gali Kultury Powiatu Bialskiego, która miała miejsce w sali Gminnego Centrum Kultury Sportu i Turystyki w Kodniu, sfinalizowano XIII edycję powiatowego konkursu o tematyce regionalnej z cyklu „Ocalić od zapomnienia”, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Białej Podlaskiej, pod patronatem Starosty Bialskiego. Podczas uroczystości wręczone zostały podziękowania za działalność na rzecz kultury. Tegoroczna edycja konkursu przebiegała pod hasłem „Biblioteka w działaniu – praca na rzecz środowiska lokalnego w ostatnich 5. latach”. Celem konkursu, tak jak w latach poprzednich, była animacja i dokumentowanie szeroko rozumianej działalności kulturalnej oraz propagowanie regionalizmu. Komisja konkursowa brała pod uwagę m.in. bogactwo prezentowanych form i działań na rzecz środowiska, różnorodność oferty bibliotek, liczbę działań z zakresu edukacji regionalnej, pomysły na pracę.

– I miejsce otrzymała praca GBP w Drelowie pt. „Na KAWIE z Biblioteką”
– II miejsce otrzymała „Kronika GBP w Rokitnie”
– III miejsce przyznano GBP w Leśnej Podlaskiej, za „Kalendarium wydarzeń z życia Biblioteki w latach 2011 – 2015”.

Medalem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich „W dowód uznania” odznaczono Halinę Bugajewską - dyr. Miejskiej Biblioteki Publicznej w Międzyrzecu Podlaskim, oraz Marię Sawczuk - dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej im. K. Sawczuka w Konstantynowie. Dyplomy Uznania Marszałka Woje

wództwa Lubelskiego otrzymały: Agata Chwalewska - dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej w Łomazach, Wanda Kopczyńska - dyr. Biblioteki Publicznej Gminy Kodeń, Beata Korolczuk - prac. Filii w Żerocinie (gm. Drelów), Magdalena Pepa - dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej w Drelowie, Krystyna Żelazowska - dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej w Rossoszu, Genowefa Żukowska - prac. Gminnej Biblioteki Publicznej im. K. Kraszewskiego w Wisznicach. Odznaczono także Gminny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej, Gminny Ośrodek Kultury w Drelowie, Gminny Ośrodek Kultury i Oświaty w Wisznicach, Gminny Ośrodek Kultury w Konstantynowie oraz Miejski Ośrodek Kultury w Terespolu.

Opracowała:
Iwona Warda

NADESŁANO DO REDAKCJI

Książki:

- ✓ Nasze dziedzictwo: kultura powiatu bialskiego, Biała Podlaska 2015
- ✓ Ryszard Kornacki, „Zbyszko z Bogdańca" czyli prawie wszystko o Mieczysławie Kaleniku, Wrocław 2014
- ✓ Materiały dydaktyczne w zakresie ginących zawodów: tkacza, kowala, dekarza/strzecharza, kołodzieja, kamieniarza, zduna, cukiernika, piekarza, rymarza, w ramach projektu:„Ginące zawody pomysłem na przyszłość" współfinansowanego z Europejskiego Funduszu Społecznego, Warszawa [br]
- ✓ Ludwik Filip Czech, Tabu, Gdańsk 2010
- ✓ 25 lat samorządności ziemi bialskiej 1990-2015, Biała Podlaska 2015
- ✓ Przez stulecie 1915-2015: Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki w Łomazach, Łomazy 2015
- ✓ Gmina Rokitno: plener Fotoklubu Podlaskiego 2015, Biała Podlaska 2015
- ✓ Ryszard Kornacki, Lublin z pamięci i snu, Wrocław 2015
- ✓ Szczepan Korulczyk, wybory polityczne mieszkańców Radzynia Podlaskiego 1989-2009, Radzyń Podlaski 2015
- ✓ Felieton radzyński: antologia tekstów 2013-2015, wyb. Jakub Hapka, Radzyń Podlaski 2015
- ✓ Park Sztuki, Biała Podlaska 2015

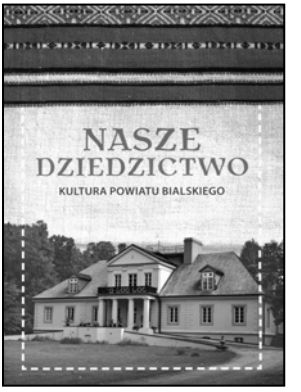

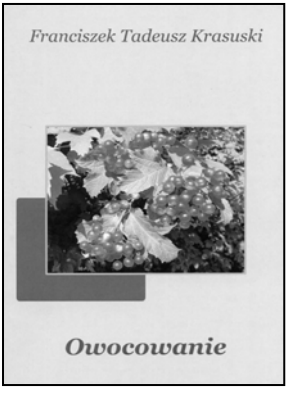

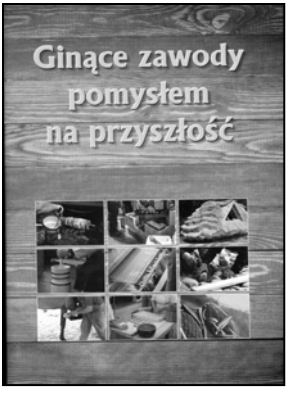

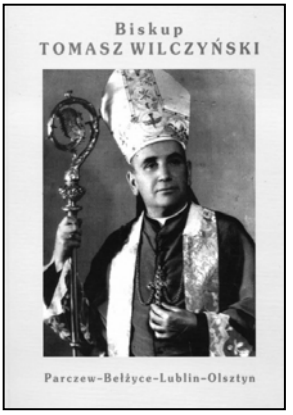

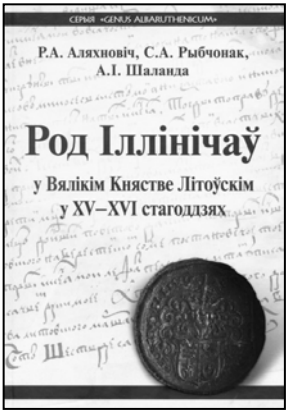

- ✓ Stanisław Jadczak, Biskup Tomasz Wilczyński: Parczew – Bełżyce – Lublin - Olsztyn, Lublin 2015
- ✓ Jadwiga Jonasz, Dzieje Brzostówca i okolic, T. 1, Radzyń Podlaski 2015
- ✓ Leon Szabluk, Wspomnienia zapisane piórem i dłutem, Biała Podlaska - Malowa Góra 2015
- ✓ Szczepan Stanisław Kalinowski, Powstanie styczniowe w powiecie bialskim, Biała Podlaska 2013
- ✓ Cherubin Złotkowski, Ballada o biedaczynie świętym Franciszku z Asyżu, bmw. 2011
- ✓ Pogranicza słowiańskie w opisach językoznawczych, Lublin–Włodawa 2015
- ✓ R. A Aljachnowicz, S. A Rybczonak, A.I. Szałanda, Rod Illiniczau u Wialikim Knjastwie Litouskim u XV – XVI stagoddziach, Mir 2015

Czasopisma:

- ✓ „Gościniec Bialski" 2015, nr 10,11
- ✓ „Rocznik Konstantynowski,2015 [T. VI]
- ✓ „Przez Pryzmat" 2015, nr 6,7
- ✓ „Kozirynek" R.17-18 (2014), 19-20 (2015)
- ✓ „Gazeta Łosicka" 2015, nr 12
- ✓ „Kraina Bugu" 2015, nr 14
- ✓ „Radzyński Rocznik Humanistyczny" T 13 (2015)

„PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY”

do nabycia w:

* Księgarni Podlaskiej
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 1)

* Miejskiej Bibliotece Publicznej
Dział Wiedzy o Regionie
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 12 a)

* SAS Jaworscy Sp. Jawna
(Biała Podlaska, ul. Sidorska 2K)

lub w prenumeracie

cena: 10 zł